Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 2 czerwca 1946 r. | Nr 21 (49)

EUSTACHY NOWICKI

„Co się dzieje w Uniwersytetach Ludowych?"

Na marginesie rozważań J. A. Króla

Usiłuje nas o tym poinformować artykuł Jana Aleksandra Króla w n-rze 13 „Wsi" na podstawie posiadanych przez Redakcję materiałów obrazujących powszedni, typowy dzień U. L. w rozmaitych regionach kraju. „Mówić będziemy — pisze autor — o tym, jak **same siebie widzą** uniwersytety ludowe".

Stwierdza więc Autor, że cechą uderzającą każdego, ktoby zajrzał w te materiały albo odwiedził osobiście którykolwiek uniwersytet — to **literackość** życia tych instytucji, gdzie „rzeczą najważniejszą dla wychowanków i wychowawców jest — **atmosfera** uniwersytetu, że jest ona tu systemem, ona dokonuje selekcji, rozkłada akcenty i nadaje nowe znaczenie materiałowi programowemu, a nawet go przetwarza i dobudowuje, zgodnie ze swymi prawami" (ciekawa to jakaś atmosfera, która takie cuda czyni — przyp. mój). Okazuje się dalej, że atmosferę tę organizują czynniki literacko-artystyczne jak: śpiew i śpiewność, motoryczna wszędzie wierszomania powszechna, widowiskowość, prymat literatury i literackości, wreszcie imprezy literacko-artystyczne.

Chcę wierzyć, że w niejednym z pracujących współcześnie uniwersytetów lud. mogą istnieć tego rodzaju dywagacje, zwłaszcza tam, gdzie szczupły i nieprzygotowany należycie do pracy personel wychowawców na tej drodze ułatwia sobie pracę z młodzieżą; podejrzewam nawet, że wypadków takich jest dziś stosunkowo wiele.

Ale wypadki te nie mogą dawać podstawy do wysnuwania wniosków o „ucieczce od życia", o wytrącaniu młodzieży z prawdziwych, obowiązujących ją dziejów, cofaniu się do epoki „Młodej Polski" i tym podobnych wykolejeniach, które by prowadzić musiały do fałszywego rozumienia rzeczywistości i od niej młodzież odwracać.

Zjawiska, które notuje autor i opiera na nich daleko idące wnioski, są wynikiem tego, że w przeciągu bardzo krótkiego czasu powstała nieproporcjonalnie wielka ilość uniwersytetów ludowych (dziś około 60), które poza warunkami lokalowymi (i to nie zawsze) i gospodarczymi (resztówki z reformy rolnej) nie posiadały i do tej chwili nie posiadają najważniejszej podstawy dla rozumnej pracy wychowawczej, jaką zawsze stanowi odpowiedni personel wychowawców. Pod wpływem nacisku z dołu, bądź ze strony młodzieży bądź organizacji społecznych, podejmowali się prowadzenia pracy w uniwersytetach lud. często ludzie, prawdopodobnie najlepszej woli, lecz nie posiadający ani przygotowania rzeczowego do tej trudnej pracy, ani, często, znajomości samej jej organizacji, programu i metod właściwych uniwersytetowi ludowemu. Taki stan rzeczy, jako rezultat mody na uniwersytety lud., musi wywoływać żywą troskę o to, by nie zdepopularyzować instytucji i jak najrychlej przyjść jej z pomocą.

Ta obawa o kierunek dalszego rozwoju uniwersytetów lud. skłoniła właśnie Tow. Uniw. Lud. R. P. do podjęcia akcji szkolenia wychowawców dla uniwersytetów lud., co się już obecnie odbywa, w najbliższej zaś przyszłości przeszkolenia personelu już w pracy uniwersytetów lud. zatrudnionego. Ta sama troska, chcę wierzyć, podyktowała i Redaktorowi „Wsi" jego na ten temat uwagi.

Mam pełną świadomość tego, że w pracy istniejących współcześnie uniwersytetów ludowych może być dużo niewłaściwości, wadliwego organizowania pracy, błąkania się wśród różnych „widzi mi się" nieprzygotowanych do pracy wychowawców, i dobrze jest, że autor wady te wskazuje: niepodobna jednak zgodzić się z tym, aby odpowiedzi ankietowe na temat: „co się dzieje w uniwersytetach ludowych" mogły stanowić wystarczający materiał do podważania podstaw pedagogicznych instytucji wychowawczej, która zarówno zagranicą jak i u nas legitymuje się wynikami pierwszorzędnej społecznej wartości.

I tak w oparciu o cytowane od czasu do czasu wyjątki z materiałów ankietowych stwierdza autor, „że panującym w uniwersytetach lud. (już w ogóle, nie w dzisiejszych konkretnych wypadkach — uw. moja) jest estetyzm, który izoluje młodzież od współczesnej rzeczywistości". Jako na źródło tego stanu rzeczy wskazuje autor na stwierdzenie jednej z ankiet, że uniwersytet ludowy ma wychowywać, a nie kształcić. Wypada się więc w związku z tym zastanowić przez chwilę, jakie jest zadanie uniwersytetu ludowego.

CZYM JEST UNIWERSYTET LUDOWY, A CZYM BYĆ NIE MOŻE

Trzeba stwierdzić od razu na wstępie, że ankieta trafnie określiła zasadnicze zadanie uniwersytetu ludowego.

Uniwersytet ludowy bowiem ma być „szkołą życia" — jak to już sformułował Grundtvig — ma być instytucją wychowującą do świadomego i czynnego udziału w życiu społecznym, przeznaczoną dla dorosłej młodzieży wiejskiej, która ma zamar pozostać na wsi w swoim dotychczasowym rolniczym zawodzie, ale pragnie równocześnie w tej swej społecznej roli być w pełni zorientowaną. Młodzież ta jest w swej większości intelektualnie surowa, reprezentuje średnio biorąc, przygotowanie czteroklasowej szkoły powszechnej, ale jest bardzo spragniona wiedzy i to takiej, która by jej dostarczyła materiału do zbudowania sobie poglądu na świat i życie, a przynajmniej dała choćby najogólniejsze podstawy tego, co nazywamy wykształceniem ogólnym, pozwalając jej w oparciu o ten wypracowany, a nie tylko „przyjęty" światopogląd uczestniczyć w budowaniu swego indywidualnego i społecznego życia. Rzecz jasna, że w ten sposób nie formułuje młodzież swoich dążeń, bo jej na to jeszcze nie stać, w wypowiedziach swych jednak zabarwionych zazwyczaj mocno uczuciem i właściwą okresowi młodzieńczemu dynamiką pragnień — dążenia takie i takie potrzeby wyraża niedwuznacznie.

Wynika to właśnie z charakterystycznego dla wieku młodzieńczego okresu idealizmu, że tęskni do obcowania z wiedzą, poezją, sztuką, że skłonna jest do entuzjazmu dla ideałów, które ją porywają. Jest to właśnie to stadium życia człowieka, w którym ze względu na te cechy psychiczne najbardziej potrzebuje opieki wychowawczej i umiejętnego kierownictwa. Dobry zaś wychowawca uniwersytetu lud. te cechy młodości wyzyskuje dla zbudowania trwałych podstaw życia psychicznego młodzieży, co pozwala jej szczęśliwie przeżeglować poprzez rafy i skały bezpłodnego marzycielstwa i pustych tęsknot i dotrzeć do tego punktu na horyzoncie zjawisk życia, z którego można je objąć już w całości, realnie ocenić i ustalić drogę własnego marszu życiowego.

Dlatego za główny i zasadniczy swój cel uważa uniwersytet ludowy obudzenie życia umysłowego młodzieży, pokazanie jej rozległego świata zjawisk składających się na obraz dawnego i współczesnego życia, wprowadzenie jej wreszcie w zrozumienie praw rządzących życiem, by na tej drodze ułatwić młodzieży określenie swego własnego w nim miejsca, swej własnej czynnej i twórczej w nim roli.

Stawiając sobie te zadania posługuje się uniwersytet ludowy właściwym sobie programem i metodami pracy, odbiegającymi od programów i metod szkolnych. Gdy bowiem szkoły posiadać muszą programy sztywne, podające określony zakres wiadomości, jakie uczeń zobowiązany jest sobie przyswoić, ażeby odpowiedzieć wymaganiom egzaminów — uniwersytet ludowy, nie przygotowując do żadnego konkretnego zawodu (wychowanek jego już zawód posiada) i nie posługując się egzaminami, może w zakresie programu poruszać się swobodniej, może dobór materiału naukowego pozostawić swobodnej ocenie wykładającego wychowawcy; chodzi tylko o to, żeby ten wybrany materiał naukowy oraz sposób jego ujęcia i podania był taki, aby spełnić mogły zadanie budzenia zainteresowań umysłowych słuchaczy i prowadziły do zrozumienia współczesnego życia, sił w nim działających oraz własnych zadań życiowych.

Ponieważ uniwersytet ludowy ma ambicję objąć swym zasięgiem, o ile możności, całą dorosłą młodzież wiejską, która związana jest warunkami swej pracy rolniczej, może pozwolić sobie tylko na krótki okres oddziaływania na wychowanków w porze, gdy są swobodniejsi od zajęć gospodarskich. Jest to okres 4—5 miesięcy wystarczający na to, by rozbudzić zainteresowanie umysłowe młodzieży, lecz o wiele za krótki, aby przyswoić wychowankom gruntowną wiedzę o życiu; tej muszą się już dorabiać sami, skoro mają wskazany kierunek i zetknęli się w uniwersytecie ludowym z książką, czasopismem i gazetą.

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że uniwersytet ludowy nie może pod tym względem konkurować z żadną szkołą, która ma za zadanie dawać taką czy inną wiedzę. Może on co najwyżej otworzyć przed swymi wychowankami wrota na świat szeroki i wskazać przez nie drogę wiodącą do zdobycia wiedzy. A jeśli obudzić potrafi jej pragnienie, dokona już przez to samo rzeczy nie małej.

Rozporządzając tak krótkim okresem pracy i mając do wykonania nie łatwe z istoty swej zadanie, musi się uniwersytet ludowy posługiwać inną metodą pracy, niż każda inna szkoła. Z jednej więc strony opiera się na żywym słowie wykładu, z drugiej zaś na takiej organizacji życia wewnętrznego zakładu, żeby znalazło się w nim dość miejsca na pracę samokształceniową wychowanków o charakterze zespołowym, gdzie w dyskusjach na tematy z życia czerpane i bliskie środowisku wychowanków zdobywają sobie wgląd w najistotniejsze jego potrzeby i sposoby ich zaspakajania.

W związku z tą odrębnością charakteru uniwersytetu lud. w zestawieniu z innymi szkołami rozwinęła się tutaj swoista metoda popularyzacji wiedzy, ujmowanej w wielkich historycznych liniach rozwojowych, i to nie tylko w naukach humanistycznych, lecz również w matematyczno-przyrodniczych. Wspominany przez autora La Cour stał się głośnym w historii duńskich uniwersytetów ludowych nie „przez konkretne zastosowanie nauk matematyczno-fizycznych", lecz przez zapoczątkowanie traktowania tych nauk w historycznym ujęciu. Historyczna zaś metoda nauki matematyki i przyrody polega, krótko mówiąc na tym, „że nauczanie obejmuje rozwój przewodnich idei, - a uczniów prowadzi się do tego, żeby przez pojawienie się najdonioślejszych odkryć przeżywali je powtórnie. Nauczanie matematyki i przyrody opiera się zatem dosłownie na tej samej zasadzie, co i nauka historii" (por. La Cour og J. Appel-Historisk Physik. Kopenhaga). Czyżby i La Cour trzeźwy i empirycz ny fizyk był pod urokiem „fałszywego cienia Gruntviga" i „szkodliwego symbolizmu?!".

Z tego, co powiedziano dotąd, wynika wyraźnie, że uniwersytet ludowy nie może być szkołą kształcącą w wiedzy, ani dla praktycznego szkolenia w zawodzie (uczynią to lepiej szkoły zawodowe), ani tym bardziej kursem szkolącym działaczy organizacyjnych, do czego nie ma kompetencji.

I oto odnaleźliśmy źródło, z którego wypływają najczęstsze zarzuty, że uniwersytet ludowy „cierpi na nieokreśloność zainteresowań i równocześnie na zbyt szeroki zakres zainteresowań". Zarzuty to zresztą nie nowe; znane były w pewnym okresie i w Danii, zanim się nie przekonano o ich niesłuszności, znamy je też i w Polsce z okresu międzywojennego, pojawiają się — jak widać — i obecnie.

Zapewne można rozumieć niecierpliwość ludzi, stojących u steru różnych prac w dziedzinie organizacji i odnowy życia polskiego, gdy widzą, że tak wolno dopływają świeże do działania siły, mimo, że tyle pola pracy leży odłogiem z braku przygotowanych pracowników (fachowych, organizacyjnych, partyjnych itd.), lecz akcję tę uzupełniania szeregów trzeba podejmować na innej, właściwszej płaszczyźnie, działalności zaś wychowawczej należałoby pozostawić swobodę organizowania sobie warunków i metod pracy najdogodniejszych dla realizacji celów, którym służą. Jest to tym bardziej wskazane, że czynią to one w interesie tych samych zadań społecznych. Ludzi przygotowanych do pracy społecznej potrzebujemy nie tylko na dziś, potrzebować ich będziemy także na jutro. Niechże się więc do niej w spokoju wychowują.

„FAŁSZYWY CIEŃ GRUNDTVIGA I SZKODLIWY SYMBOLIZM"

Uniwersytety ludowe polskie w rzeczy samej opierają się w swych założeniach ideowo-programowych na zasadach pedagogicznych Grundtviga i w tym sensie można by je nazwać grundtvigiańskim, gdyby z tym określeniem nie wiązały się pewne cechy religijno-filozoficzne które charakteryzują uniwersytety ludowe duńskie, obce zaś są polskim; ale nie „wszystko, co się dzieje w uniwersytecie ludowym, idzie na rachunek Grundtviga", cała bowiem dziedzina pracy, składająca się na wewnętrzne życie zakładu, równie silnie akcentowana jak praca wykładowa, jest rezultatem myśli i doświadczeń polskich, nie mających odpowiednika w uniwersytetach ludowych duńskich.

Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają niestety na szczegółową dyskusję na temat Grundtviga, dlatego nie będę się wdawał w polemikę, na ile Grundtvig, jako dziecko swej epoki, był w swej działalności romantykiem, pozwolę sobie tylko zauważyć, że czynne jego życie rozwijało się zarówno w epoce romantyzmu, jak też i w okresie pozytywizmu (żył 1783—1872). Nie wszczynam w tej materii dyskusji, ponieważ kwestia ta nie wiąże się z naszym właściwym zagadnieniem, sprostować chcę tylko, że objaśnianie charakteru duńskich uniwersytetów ludowych wpływami romantyzmu nie pokrywa się z historyczną prawdą. Grundtvigowi bowiem w jego trosce o zbudowanie nowego narodowego systemu wychowania młodzieży nie chodziło „o wywołanie w ludzie uczucia, że należy do narodu duńskiego i gotów się bić za wolność Danii", gdyż to czyniła od dawna szkoła elementarna, lecz właśnie o to, by wychowanie nie zamykało się w werbaliźmie patriotyzmu politycznego, jak to było dotąd praktykowane w szkolnictwie duńskim, by nie wyczerpywało się w fałszywie rozumianym humaniźmie, lecz by się oparło na pierwiastkach czysto duńskich, które były do znalezienia w owym czasie tylko w ludzie duńskim, w duńskim chłopie. Chodziło tu Grundtvigowi o wprowadzenie duńskiego chłopa z jego zabiegliwą pracą, realizmem myślenia, głębokim zrośnięciem się z niezmąconymi źródłami starej narodowej kultury w krąg oddziaływania kulturalnego przeestetyzowanej epoki, w jakiej się Dania wtedy znajdowała, a nie o realizowanie ludowych haseł romantyzmu. Akcentowana przez Grundtviga „Folkelighed" — to coś znacznie innego, niż ludowe balamucenie się romantyzmu.

Także rezultat przegranej wojny w r. 1864 wyrażał się nie w tym, że „Dania utraciła

wprawdzie część swego terytorium, ocaliła jednak wolność" lecz w tym, że wojna ta wykazała kompletne bankructwo dotychczasowych przewodnich klas w narodzie duńskim, liberalnego mieszczaństwa i konserwatywnej szlachty i kazała ludziom dalej widzącym szukać ratunku dla narodu w wprowadzeniu do kierownictwa nim warstwy chłopskiej.

I właśnie tragedia r. 1864 stała się punktem wyjścia dla rozwoju duńskich uniwersytetów ludowych, które stać się miały szkołami przygotowującymi młodą wieś duńską do wielkiej pracy nad odrodzeniem gospodarczym i politycznym kraju. Kiedy do roku 1864 uniwersytetów lud. było zaledwie jedenaście, po tym roku w ciągu najbliższych lat 10 liczono już 54 zakładów tego typu, a frekwencja w nich z roku na rok wzrastała. Było to zjawisko naturalne w dobie zdobywania przez demokrację duńską a przede wszystkim przez wieś duńską pozycji społecznej i politycznej w kraju.

Skoro już prostować wypadło błędną interpretację historii rozwoju duńskich uniwersytetów ludowych, to nie można pominąć charakterystyki poszczególnych okresów rozwojowych, którą podejmuje autor dla podtrzymania tezy o „szkodliwym cieniu Grundtviga". Stając na gruncie tego podziału, trzeba stwierdzić od razu, że okres przypadający na drugą połowę XIX stulecia, zwłaszcza po r. 1864, charakteryzuje się nie przewagą fizyków (jak La Cour), „którzy torują tu drogę nie fantazjowaniu o tajemnicach bytu, lecz konkretnemu zastosowaniu nauk przyrodniczych" (praktycznie nie stosowano w uniw. lud. nauk przyrodniczych), tylko w pierwszym rzędzie tym, że uniwersytety ludowe obok szkół rolniczych i spółdzielczości weszły w orbitę oddziaływania narastającego ruchu chłopskiego, który coraz śmielej wkraczać począł w życie duńskie, jako czynnik konstruktywny, zwłaszcza na odcinku gospodarczym i politycznym. Uniwersytety ludowe były wówczas rezerwoarem zasilającym ten ruch kulturalnie i stąd ich rozwój, popularność i doniosła rola społeczno-kulturalna w życiu Danii tej epoki.

Ale kwestia ścisłości czy nieścisłości obrazu rozwojowego duńskich uniwersytetów ludowych posiada dla naszej dyskusji drugorzędne znaczenie. Wspominam o tym dlatego, by wskazać, jak daleko i jak ryzykownie zagalopować się można w ocenie zjawisk historycznych przy powierzchownym ich potraktowaniu. Uogólnienia bowiem mają to do siebie, że są tym prawdopodobniejsze im bogatszym rozporządzają materiałem faktycznym.

I tak dla autora wypływa z jego rozważań jedynie wniosek: „Nie wzywajmy na ślepo imienia Grundtviga, nie bądźmy pawiem i papugą chłopskich narodów". Dla ludzi zaś, którzy z pracą uniwersytetów ludowych ze-knęli się zbliska, oparcie się w wychowaniu młodzieży chłopskiej na zasadach pedagogicznych Grundtviga jest gwarancją celowości tej pracy i jej głębokiego sensu społecznego, a równocześnie jest zabezpieczeniem przed tak nęcącym zwłaszcza w okresach — jak dziś — przełomowych odkrywaniem Ameryki po raz wtóry. Zostawmy trochę w tym zasługi także Kolumbowi.

Punkt ciężkości jednak rozważań autora nie spoczywa na tym, co zapowiada tytuł artykułu, lecz dotyka najogólniejszych celów wychowawczych uniwersytetu ludowego.

Cele te wyrażają się w dążeniu do przebudowy wewnętrznej młodego człowieka z indywiduum żyjącego w chaosie myśli, uczuć i dążeń — w osobowość ukształtowaną harmonijnie z wyraźnie zarysowanymi drogami dla pracy myślowej, uczuć i woli kształtowania życia. Dlatego T. U. L. w swej deklaracji ideowej mówi o „spotęgowaniu życia duchowego i rozwoju osobowości wychowanków".

To spotęgowanie życia duchowego i osobowość, to jest właśnie — zdaniem autora — ten „fałszywy cień Grundtviga, który wciąż jeszcze nie chce ustąpić z naszego życia wiejskiego". O ile jeszcze jest skłonny uznać aktualność takich celów wychowawczych w okresie przedwojennym „jako zamaskowany apel do bojowego pogotowia świadomości klasowej w latach przedwojennych", to dzisiaj uważa to za „szkodliwy symbolizm, za typowy proces degeneracji myślowej, właściwej wszelkim emigracjom, tzn. wszelkiemu oderwaniu się od szans na działania praktyczne". Zaiste mocne słowa w ustach przedstawiciela wsi i redaktora „Wsi", o wiele za mocne w stosunku do istniejącego stanu rzeczy, i mimo powoływania się na autorytet znakomitego naszego socjologa, prof. Chałasińskiego — bardzo ryzykowne, zwłaszcza w zestawieniu z przytoczonym zaraz poniżej przykładem.

„I dziś — pisze autor — oglądamy opłakane skutki tej **samowystarczalności gry duchowego spotęgowania.** Upływa półtora roku i Związek Młodzieży Wiejskiej nie uczestniczy **in corpore** (podkr. moje) w Związku Samopomocy Chłopskiej, woli w dalszym ciągu w próżni potęgować życie duchowe, jakby nie było rzeczą jasną, że **nie od kursów higienistek, ochroniarek i kierowników świetlic należy zaczynać** (podkr. moje), ale od tych resztówek, idących w miliardy złotych... od rozwinięcia na nich pierwszych masowych instytucji użyteczności publicznej — przede wszystkim gospodarczych, a z nich jako stałej bazy inwestycyjnej wszelkich innych duchowych".

Taki huragan artyleryjskiego ognia wymierzył autor we wrogie pozycje „spotęgowania życia duchowego i rozwoju osobowości", by dowieść, że praca w Związku Samopomocy Chłopskiej jest pilniejszą sprawą, niż zdrowie fizyczne i duchowe wsi, któremu wszak służą i higienistki i ochroniarki i świetlice, a nawet — tak się przynajmniej zdaje — i Związek Samopomocy Chłopskiej.

Na tym przecie nie koniec. Niepokoi ciągle mimo wszystko „rozwój osobowości", z którym jeszcze się autor nie rozprawił mimo huraganowego ognia użytych argumentów. Wraca więc do „tradycji Grundtviga, która — jak lojalnie przyznaje — została u nas dopełniona i przystosowana do polskich tradycji wychowawczych". Ba cóż, kiedy „te polskie są pochodzenia... inteligencko-szlacheckiego". Czyż to mogą być tradycje, do których nawiązywać należy, zdaje się dawać do zrozumienia autor. I czy w takim razie naród w ogóle powinien nawiązywać do swych tradycji, skoro te tradycje, kulturę i dzieje tworzyła szlachta — budzi się mimowoli refleksja czytelnika.

Kto temu nie wierzy — zdaje się mówić autor — niech przeczyta uwagi prof. Chałasińskiego o rodowodzie społecznym inteligencji polskiej, które autor stara się nawet streścić, by podbudować swe twierdzenie, że „idea osobowości, którą odnajdujemy w programie wychowawczym uniwersytetów ludowych, wywodzi się z tego właśnie tragicznego uwikłania ruchu ludowego w chłopomańskie sympatie inteligencji, która swego egzaminu wobec narodu w rezultacie nie zdała". Tylko, że w swych wywodach o genealogii społecznej inteligencji prof. Chałasiński charakteryzuje inteligencję jako klasę społeczną, jako zjawisko socjologiczne, występujące na tle takiego, a nie innego przebiegu procesów społeczno-ekonomicznych w Polsce i nie wartościuje wkładu inteligencji w dorobek kulturalny Polski. Dyskusja zaś, jaka się współcześnie toczy na powyższy temat w „Kuźnicy" (Zawodziński, Litwin) skutecznie podważa niejedno z twierdzeń znakomitego socjologa. Gdybyśmy zaś przeglądnąć chcieli szeregi polskiej inteligencji z punktu widzenia jej klasowego pochodzenia lub ze stanowiska pionierskiej jej roli w postępowych ruchach społecznych i politycznych (różne odłamy ruchu socjalistycznego, ruch ludowy), a nie upraszczali sobie sprawy schematem myślowym, że inteligencja — to tylko „wysadzona z siodła szlachta — emigranci na bruku miejskim", to przekonalibyśmy się, że zagadnienie inteligencji polskiej i jej roli w życiu narodu jest kwestią o wiele bardziej złożoną, niż zawrzeć się to da w formułce socjologicznej, którą się posługuje autor.

Gdybyż to jeszcze tak istotnie było, że ideologia uniwersytetów ludowych w Polsce została stworzona przez inteligencję dla wsi. Aliści było właśnie odwrotnie. To, co stanowi dziś treść ideowo-wychowawczą uniwersytetów ludowych u nas, nawet w swoich przerostach czy jednostronności, jest rezultatem chłopskiej pracy myślowej, mam prawo sądzić nawet, że i chłopskiej potrzeby. Tu nie ma — jak chce autor — splotu dwu wątków: wczesno-grundtvigowskiego i inteligencko-ziemiańskiego („potęgować życie duchowe i rozwijać osobowość"), lecz jest głębokie przekonanie, że „najwspanialsze programy, największy rozmach reform pójdą na marne, jeśli wykonawcy nie okażą się ideowcami i wybitnymi indywidualnościami. Najwięksi ideowcy nie zrobią nic, jeśli nie będą umieli myśleć realnie i działać praktycznie. Najbieglejszy praktyk zawiedzie, jeśli nie będzie się kierował głęboko i jasno przemyślanym programem. Działać, pomagać, interweniować, uczyć i wychowywać trzeba już teraz, nie czekając z człowieczeństwem, moralnością i oświatą, aż się dokona zmiany struktury społecznej i aż wyrośnie nowe pokolenie" (Wacław Kubacki. W trosce o człowieka, Odrodzenie nr 14. r. 1946).

I to jest przyczyna, dla której tak wielkie znaczenie przywiązuje uniwersytet ludowy do wychowania człowieka i jego możliwości rozwojowych, to jest powód, który skłania nas do pracy nad budzeniem duchowym młodego człowieka ze wsi, by myślał, czuł i działał nie wyłącznie w granicach opłotków swego egoizmu, lecz stał się właśnie — jak chce autor „osobowością społeczną", zorientowaną w życiu i w sposobach działania w nim.

Tacy wychowankowie w dużym procencie z uniwersytetów lud. wychodzili przed wojną i takich mamy zamiar wychowywać nadal. Jesteśmy bowiem zdania, że osobowość nie wyraża się w rezultatach działania i jego sukcesach, lecz objawia się w uświadomieniu sobie potrzeby działania, w jego intencjach i przyświecających mu ideach przewodnich.

Na szczęście nie jest tak źle, by opinia ludzi związanych z uniwersytetami lud. w Polsce nie rozumiała tego, „że osobowość kształtowana w oderwaniu od procesów gospodarczych i od udziału w realnym przekształceniu cywilizacyjnych warunków życia wsi" stała by się niewątpliwie jednym ze złudzeń symbolizmu. Rozumie ona dobrze, że „osobowość społeczna powstaje z udziału w realnych procesach społecznych". Dlatego te realne procesy społeczne i gospodarcze mają być głównym ośrodkiem pracy w uniwersytetach lud., przede wszystkim w ramach samokształcenia zespołowego, dyskusji, zetknięć z terenem itp.

Stanowisko autora dyskwalifikujące wartość społeczną i rolę awangardową uniwersytetu lud. w Polsce współczesnej ma, być może, swe częściowe uzasadnienie w odniesieniu do pewnej ilości placówek, do pracy swej nie przygotowanych, myli się jednak autor w adresie, gdy podważyć, a nawet obalić usiłuje zasady ideowo-programowe samego ruchu.

Ruch uniwersytetów ludowych rozumie niewątpliwie dobrze doniosłość **„zadań rzeczowych, które są do wykonania"** i do nich wychowanków swych przygotowuje, nie może jednak uznać, by to były zadania jedyne. W tym punkcie właśnie zachodzi zasadnicza różnica stanowisk.

Eustachy Nowicki

ZOFIA SOLARZOWA

W sprawie Uniwersytetów Ludowych

Uniwersytet Ludowy nie jest szkołą.

Nie jest też kursem dla pracowników społecznych. Nie ma odpowiednika w żadnej innej formie działania zbiorowego, wychowawczego.

Stąd niepokój, stąd z góry założona nieufność i chęć umieszczenia tej nieokreślonej placówki życia w znane i takim czy innym autorytetem pieczętowane formy pracy oświatowej.

Czymże jest Uniwersytet Ludowy?

Zgodzimy się sądzę na to, że wpływ na kierunek życia i na światopogląd nasz może wywrzeć zarówno środowisko wychowawcze, jak doznania często niespodziewane — a wstrząsające.

Może to być spotkanie z ciekawym, mocnym człowiekiem. Może wstrząsająca scena w jakimś dramacie ludzkim. Może ciężka choroba, czy odosobnienie w więzieniu — kiedy przemyślało się wiele. Może — miłość do niezwyczajnej dziewczyny? Może książka mocna? Może — czyjaś śmierć? Może widok ze szczytu pierwszy raz zdobytego?

Jedna droga wpływu — środowisko — jest bardzo długa. Tak długa, że powoduje często zanik związku pomiędzy jej początkiem i końcem.

Druga drogą — silnego przeżycia — jest przypadkowa.

Tak właśnie myślał działacz i poeta duński, kiedy biedził się nad koniecznością doraźnego, a jednocześnie trwałego zbudowania nowej duńskiej społeczności.

Liczyć na długie działanie szkoły — nie pozwalała nagłość potrzeby. Czekanie na przypadek — byłoby nonsensem.

Więc zawierzył sile osobistego wpływu. Podjął się zorganizowania silnych wrażeń, bodźców nadających nieustanny kierunek ruchowi wewnętrznemu, syntetycznej myśli i uczuć działających na myśl i wolę.

Cel — osiągnął. Niezależnie od tego — jak wygląda sprawa Uniw. Ludowego w Danii w ostatnich latach przedwojennych, — młodzież, która obcowała z nim i z realizatorem jego myśli, — dokonała przeobrażenia stosunków w Danii w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Przeobrażenia te — szły drogą konkretnych, gospodarczych dokonań, budowały warunki materialne dla duńskiej i ludzkiej kultury.

Wpływ wychowawczy podobny był do wpływu, jaki na każdego z nas może wywrzeć przyjaciel — w bezpośrednim obcowaniu.

Dlatego zespół młodzieży i wychowawcy tworzyli rodzinę. Dlatego nastrój w zespole był nastrojem swobodnej, towarzyskiej gromadki — i dla widza stanowił zawsze zagadkę. Bo nastrój dał się odczuć — treści, którymi zespół żył i które ów nastrój stwarzały, dały się poznać jedynie przez pełne współobcowanie.

To jest właśnie najistotniejsza, fundamentalna zasada, przejęta przez nas z Danii.

Wszystko inne wypracował Uniw. Ludowy w Polsce — sam.

Strzegł tylko owego węgielnego kamienia — niezależności swojej od wszelkich form kształcenia młodzieży jednokierunkowego, szablonowego i szkolarskiego.

W dzisiejszej rzeczywistości polskiej, sprawa Uniw. Ludowych wygląda dość zabawnie.

Wszyscy — niezależnie od kierunku politycznego chcą Uniw. Ludowych.

Jednocześnie — prawie wszyscy aktywni działacze społeczni chcą, aby zmieniły się założenia, cele i metody tej instytucji.

Intencja ataku na Uniw. Ludowe może być oczywiście różna.

Można wojować o zasadnicze zmiany z wiarą, że silny wpływ UL szybciej oddziała na życie w pożądanym przez wojujących, kierunku — można również atakować istotę działania ze świadomością jego szkodliwości.

W pierwszym wypadku zachodzi nieporozumienie: Wysuwane żądania w kierunku zmian zniszczą prostą tajemnicę działania.

W drugim — występuje sprawa nieuczciwości. Rzetelniej byłoby powiedzieć: Nie ma dziś miejsca w Polsce na Uniwersytety Ludowe.

Natura ludzka (niestety, natura) już jest taka, że co nieznane dla niej, to mistyczne lub groźne.

Sposób na poznanie Uniw. Ludowego jest jeden: wejść w jego życie na okres wielu dni.

Trudność poznania nie powinna zniechęcać — a zaciekawiać. Łatwość sądu świadczy jedynie o braku zdolności doświadczania lub o tendencji.

Jedno stwierdza się powszechnie: Uniw. Ludowy w Polsce przed 1939 rokiem wywarł silny wpływ na życie społeczne.

Wpływ ten — w tamtych latach ludzie decydujący dziś o stosunkach w kraju, uważali za dodatni. Podkreślali twardość postawy ideowej wychowanków — ich konkretne działanie w życiu gospodarczym (spółdzielczym) bojowość i radykalizm. Nadto — stwierdzali u ludzi z Uniw. Ludowych wysoki poziom moralny i rozległe zainteresowania umysłowe oraz głębokie poczucie wolności i odpowiedzialności społecznej.

Dziś wszystkie te zalety stały się wadami. Dlaczego?

W imię czego prowadzi się wojnę z założeniami Uniw. Ludowych?

Skąd te żądania programów i lęk przed swobodą wpływu?

Czyżby ludzie Uniw. Ludowego przeciwstawiali się istotnie demokratycznym, radykalnym zmianom społecznym? Czyżby nie uczestniczyli czynnie w robotach budujących dobrobyt i wysoki poziom myślenia?

Nie. Większość wychowanków — to bojownicy nowej społecznej rzeczywistości.

Bój — prowadzi się o posłuch. O podporządkowanie wszystkiego — jednej koncepcji.

Gdyby ludzie atakujący doceniali bogactwo i złożoność, pełność i urodę życia narodu — gdyby jednocześnie w ruchu Uniw. Ludowych dostrzegli siłę kojarzenia i uspołeczniania indywidualnych wartości — byliby zapewne spokojni i pewni realizacji własnych myśli społecznych, na tej właśnie drodze.

Chęć zszablonowania, lęk przed swobodą, zamykanie oczu na oczywiste wartości — płynie z nerwowego traktowania sprawy rozwoju i postępu w stosunkach ludzkich.

Zresztą, ataki na Uniw. Ludowe idą też od strony polityki — i to jest zrozumiałe. W tym wypadku dyskutować się nie da.

Bo w tym nastawieniu — widzi się to, co chce się widzieć. Filozofię dorabia się do tendencji.

A szkoda.

Spokojny i życzliwy, choć normalnie krytyczny stosunek polityków do sprawy Uniw. Ludowych świadczyłby o poziomie uspołecznienia i pozwoliłby na rzeczową wymianę myśli w atmosferze rozsądku.

Uniw. Ludowy nigdy nie prowadzi gry politycznej i nigdy nie neguje żadnej ideologii, szczerej i szczerze społecznej. Wychowuje w szacunku dla każdej realizacji uspołeczniania życia.

Uniwersytet Ludowy buduje następujące wartości w ludziach:

Rozpala emocję życia i wiąże uczuciowo z środowiskiem.

Roznieca pożądanie wiedzy i wskazuje jej źródła.

Usamodzielnia w myśleniu.

Budzi i utrwala odpowiedzialność społeczną.

Wyodrębnia osobowość i wiąże ją w społeczność.

Uczy wnikania w siebie — i uczynnia zdolności.

Budzi życzliwość dla życia i ludzi.

Uczy wiązać zjawiska i nurty — w jedność.

Wiąże młodzieńczy idealizm z realnością działania.

Utrwala i nadaje sens bojowości i radykalizmowi.

Rzetelnością — warunkuje skuteczność działania.

Nie narzucając kształtu życia — pobudza do kształtowania go na miarę możliwie najwyższą.

Jeśli te wartości szkodliwe są dla dzisiejszej demokracji, to zorganizowany atak na Uniwersytety Ludowe — jest słuszny.

Był czas, kiedy politycy chłopscy zarzucali Uniw. Ludowemu — nieżyciowość i bezużyteczność w kształtowaniu politycznego życia.

Ci sami ludzie świadomi są dziś tej prawdy, że zasadniczą linię ideologii ruchu chłopskiego utrzymała młodzież wiciowa, ruch młody, w którym znany i widoczny jest wpływ Uniw. Ludowego.

Życzę gorąco ludziom atakującym Uniw. Ludowe, aby doczekali chwili, w której stwierdzą, że na drodze wybijanej dziś przez nich dość nieobliczalnie — trwa i działa ruch chłopskiej młodzieży, reprezentowany między innymi przez Uniw. Ludowe.

Bo bezkompromisowość z istotną **reakcją**, bezinteresowność i działanie wiążące środowiska (chłopi — robotnicy — inteligenci!) — to treści, którymi żyje Uniw. Ludowy, nie w hasłach, a w dojrzewaniu i działaniu.

Dobrze się stało, że ob. Król wszczął dyskusję na temat Uniw. Ludowych.

Stałoby się jeszcze lepiej, gdyby dyskusja poszła po linii rzetelnego poznania sprawy.

Na pewne, oczywiste prawdy — zamyka się uszy i oczy.

Na przykład: Zarzuca się Uniwersytetom Ludowym brak zainteresowań w kierunku nauki, technizacji życia i zmysłu politycznego.

Nie chce się słyszeć o tym, że:

Po pierwsze — trzon wykładów — to właśnie wykłady z dziedziny życia społecznego i gospodarczego, że udział bezpośredni w gosp. społecznym życiu okolicy, wiąże zasadniczo, realnie z bieżącym życiem.

Po drugie, że dla wychowania w kierunku określonym — społecznym czy gospodarczym istnieją odpowiednie szkoły.

Kursy polityczne, szkoły zawodowe — mają tu ogromne i wdzięczne pole do działania.

Słuchacze Uniw. Ludowego idą masowo do tych właśnie szkół.

Sądzę, że niedługo dla wymiany zdań w tej sprawie — posłużyć się będziemy mogli najwymowniejszym argumentem: statystyką.

O cóż tak lękacie się — drodzy przyjaciele? O to, że chłopak czy dziewczyna ze wsi, którzy od dziecka ciężko pracując fizycznie nie zawsze mogli się wyprostować — będzie miał na przestrzeni życia — 5 miesięcy pełnej radości?

Czy o to, że danem mu będzie przez chwilę stanąć na wzniesieniu, z którego widać i urodę okólnego świata i ścieżki, którymi po powrocie — bez błąkania się pójdzie?

Spróbujcie — określić jasno i prosto szkodliwość Uniwersytetu Ludowego.

Nie na podstawie zeznań 2 czy 3-ch znajomych, którzy to lub tamto widzieli, — ale na podstawie poważnej, doświadczalnej pracy.

Będzie to z powszechną korzyścią dokonane.

Bo oczywistą rzeczą jest, że my wszyscy, którzy z życiem Uniw. Lud. związaliśmy swoje życie — szukamy nowego, dzisiejszego wyrazu dla zasadniczych treści tego ruchu.

Tylko — że troską naszą jest — nie zmiana istoty rzeczy, ale lepsze, bardziej celowe zorganizowanie jej i wyrośnięcie.

Jedno jest bezsporne.

Uniwersytety Ludowe (budowane na duńskim pierwowzorze) — typu określonego przez Szyce i Gać — mogą w pełnej swobodzie działać jedynie w społeczeństwie demokratycznym.

Autorytetem kontrolującym te ogniska społecznego życia, jest opinia społeczna.

Czynniki rządowe w tych krajach, gdzie Uniw. Ludowe są powszechne — znając istotę ich życia, znając ich głęboko etyczny nurt działania — nie lękają się ich, niezależnie od bieżącej polityki, jaką rządy te reprezentują.

Widomym znakiem następującej fali totalizmu (jak w Niemczech), była kontrola Uniw. Ludowych, po tym żądanie dla nich jednolitego programu — a wreszcie — zamknięcie tych instytucyj.

W dzisiejszych Uniwersytetach w Polsce — rzecz prosta — poziom odpowiada poziomowi powszechnemu. Masowość ich — niepokoi.

U większości ochotników do tej pracy, stwierdzić należy brak danych niezbędnych w tej niezwykle promiennej robocie.

Ale jedno stwierdzić mogę na podstawie osobistego obcowania z tymi ludźmi:

Że — mają niezmordowaną wolę dociągnięcia do poziomu. —

I że usilnie pracują nad wzniesieniem się ponad ograniczenia metod politycznych.

Nie ma w Polsce ani jednego Uniw. Ludowego o nastawieniu partyjnym.

Znam jednego z kierowników, który w gorącej trosce o prawdziwość i poziom życia w Uniwersytecie Ludowym — przezwycięża własne obciążenia polityczne, czuwa pilnie nad sobą, aby nie zaciążyć na świadomości wychowanków.

Owszem. Są ciężkie chwile, w czasie których zjawiają się w UL pozory — partyjności.

Dzieje się to wtedy, kiedy zespół wychowawców i wychowanków czuje się w moralnym obowiązku — stanąć w obronie prawdy, albo krzywdy.

Gdyby Polskie Stronnictwo Ludowe doszło do władzy w Polsce — i gdyby „panowało" metodami sprzecznymi z najprostszą etyką — Uniwersytety Ludowe — przeżywałyby w swoich zespołach żywy i głęboki proces wartościowania jego społeczno-moralnego poziomu.

Szuka się dziś w Polsce terenów i zespołów łączących środowiska.

A przecież nie ma nigdzie — tych — i takich możliwości wiązania i kojarzenia osiągnięć kulturalnych różnych środowisk — jak w Uniw. Ludowych.

Zofia Solarzowa

JAN ALEKSANDER KRÓL

Dwie koncepcje Uniwersytetów Ludowych

Część I — grzechy religijnej koncepcji U. L.

ŚREDNIOWIECZE — WSPÓŁCZESNY PROBLEM WSI

Zapóźnienia warstwy chłopskiej w rozwoju cywilizacyjnym w Polsce nie można kłaść wyłącznie na karb pańszczyzny. Pod pańszczyzną byli również chłopi i w krajach Europy Zachodniej.

I nie tyle fakt, że wcześniej z pod niej zostali uwolnieni zadecydował o ich dojrzałości społecznej i narodowej w Danii, Szwecji, Szwajcarii czy Czechach, ile wpłynęły na te różnice inne fakty, których właśnie u nas zabrakło.

Na Zachodzie była pełna Reformacja! Co to znaczy? Znaczy to, że kiedy u nas Reformacja musnęła tylko warstwę szlachecką, na Zachodzie sięgnęła ona do dna narodów. Objęła masy, wywołała potężne bunty i ruchy ludowe. Na Zachodzie zatem całe narody wyszły ze średniowiecza, jako formacji kulturalnej. Wyszły wszystkie stany. Reformacja w ten sposób stworzyła na przyszłość jedną z fundamentalnych podstaw pod jedność narodową — pod cywilizacyjną jednolitość wszystkich warstw, mimo ich nierównego położenia społecznego.

U nas Reformacja była tak słaba, że średniowiecze odżyło i przetrwało w samej szlachcie do drugiej połowy w. XVIII. W warstwie chłopskiej nieruszonej Reformacją nurtuje ono przez cały wiek XIX. Utwory pierwszych pisarzy ludowych w połowie XIX wieku kontynuują wytrwale w formie i treści średniowieczne moralitety, religijne w treści, makabryczne w fabule. Jeszcze 50 lat temu Orkan opisuje żywe na wsi zabobony i wierzenia w płanetniki - kosmacze, w strzygonie, boginki i topielce. Jeszcze w roku 1938 w jednej wsi powiatu warszawskiego młoda instruktorka inżynier-rolnik bezsilnie asystuje u swoich gospodarzy w odczynieniu kołtuna.

Na Zachodzie rozwinął się **pełny kapitalizm!** A kiedy u nas Orkan widzi pod koniec XIX w. we wpływie miasta na wieś „zaśmiecanie dusz" chłopskich, jest w jego obserwacji dużo tragicznej racji. Te miasta i miasteczka wytworzyły kiedyś potrzeby agrarne, administracyjne i handlowe, handlu jeszcze hanzeatyckiego i lewantyńskiego, a nie ożywił je i nie przebudował gruntownie potężny rozwój przemysłu, podczas, kiedy tam na Zachodzie wychodził już na eksport wielki przemysł, a handel na transoceaniczne szlaki.

Brak wpływu tych dwu fal cywilizacyjnych — oto dystans jaki dzieli naszą wieś od wsi Zachodu Europy. Nieobecność Reformacji to — przetrwanie w warstwie chłopskiej średniowiecznej problematyki kulturalnej, średniowiecznych elementów światopoglądu. Nieobecność rozwiniętego kapitalizmu to słabo zachwiany wpływ surowej, „czystej" natury wsi. Konstrukcja religijna średniowiecza i magia panującej nad chłopem przyrody zrosły się na wsi **w mistycyzm**, jako narzędzie rozpoznawcze i jako treść pogłębionego życia, która, jak nakazywała kiedyś scholastyka, organizuje się przede wszystkim w obliczu Tajemnicy Bytu.

Kiedy więc w „kulturze ludowej" krajów Zachodu średniowiecze stanowi jedną z dawniejszych faz, uzupełnionych i nabudowanych wątkami nowych treści cywilizacyjnych zasymilowanych przez „kulturę ludową" mniej więcej równolegle z ich narastaniem w górnych, decydujących społecznie i gospodarczo warstwach narodów Europy — u nas do ostatnich czasów nie zostaje ta luka wypełniona i ogniwo kultury średniowiecza jest ostatnim samorodnym ludowym ogniwem, jakie wysterczą w nową Polskę i nowożytną Europę.

RELIGIJNA KONCEPCJA UNIWERSYTETU LUDOWEGO

Cóż wspólnego mają dotychczasowe rozważania z Uniwersytetami Ludowymi? Niestety, mają, co się zaraz okaże: Rzecznicy U. L-wych słusznie podkreślają ,że instytucja ta jest chłopską w innym znaczeniu, niż szkoła ludowa, rolnicza, czy nawet gimnazjum chłopskie.

Kiedy tamte są dobrodziejstwem **dla wsi**, ta jest wytworem **samej wsi.** Koła młodzieży, Uniwersytety i Teatry ludowe stanowią pierwsze samorodne instytucje jakie zluzowały targowisko i kościół w ich od średniowiecza utrwalonych funkcjach kulturalnych. Życie towarzyskie, wiadomości ze świata, pogłębianie wiedzy, umacnianie się więzi społecznej, kształtowanie osobowości społecznej, przeżycia estetyczne, wszystko to z tamtych w wieś wniesionych scenerii przeniosło się po raz pierwszy na własne sceny, we własne instytucje. Skoro tak się rzeczy mają, z miejsca można postawić pytanie: jeżeli w teatrze ludowym Ciernjak stał wobec „materiału budulcowego" misteriów, legend i obrzędów, jeżeli Niećko naniósł w Koła Młodzieży wiejskiej mistycyzmu ziemi i słońca, mistycyzmu akardyjskiej słowiańszczyzny dla wyrugowania ze wsi ludowej tradycji chrześcijańskiego średniowiecza, jakże mamy w Uniwersytetach Ludowych nie spotkać się z tą samą problematyką?

Przełomy mają to do siebie, że składają się z wczoraj i jutra. Przeszłość uderzona na jednych punktach wcale mocno żyje jeszcze na innych. Co więcej — bywa — że rewolucjoniści nie prędko się połapują w tych innych, biorąc je albo za neutralne albo nawet za wyrażające również postęp.

W odniesieniu do Uniwersytetów Ludowych możnaby zgóry postawić taką hipotezę: Jest do pomyślenia typ uniwersytetu, który przedłużałby na wsi „średniowiecze", skoro ta tradycja jest ostatnią samorodną tradycją ludowej nadbudowy kulturalnej.

Są nawet — powiedziałby niejeden — rzeczywiście takie uniwersytety. Przed wojną stanowiły większość — nazywały się: katolickie U. L-we. To trafienie jest łatwe ale w gruncie rzeczy chybione. Katolickie U. L. nie są chłopskie. Tu nie chłopi przedłużają w sobie średniowiecze, ale w nich się je przedłuża. To jedna różnica. Druga tkwi w tym, że środki operacyjne współczesnego katolicyzmu, jeśli na tym odcinku nie są, to mogą być wyrafinowane, mogą korzystać z usystematyzowawanych doświadczeń całych następnych 4 wieków, dlatego zachowując wychowanków w katolicyzmie zawsze przesunąć ich mogą bardzo daleko od elementarnego, właśnie średniowieczno - ludowego punktu wyjścia.

Nam chodzi o samodzielne, niezależne U. L-owe. Jak tu było i jest? W deklaracji T.U.L. czytamy, że „racją bytu i roli społecznej naszych uniwersytetów ludowych opartych o tradycje Grundiviga jest pielęgnowanie życia duchowego i rozwój osobowości wychowanków".

Cóż ten zwrot wyraża? Aktualnych wyjaśnień dawać jeszcze nie próbowano.

Trzeba nam się cofnąć do roku 1938, do konferencji U. L. w Krzemieńcu. Odbyła się ona w 30 lat od powstania pierwszego w kraju U. L. Poprzedziły ją doświadczenia Solarza w Szycach i Gaci, poprzedził okres bujnego rozwoju U. L-owych, w ostatnich latach przedwojennych, kiedy w jednym roku 1937 wszystkie Uniwersytety przeprowadziły 860 słuchaczy, poprzedziło wiele innych konferencji. Otóż tu podano — niezakwestionowaną w dyskusji — ostatnią przedwojenną definicję „Osobowości", w jej użyciu wychowawczym na U. L-owych. Autorem jej był Wł. Radwan.

„Podstawowym czynnkiem kształtowania się osobowości jest uczuciowy związek osobowości z wartościami... Trzeba bowiem wielkiego prądu duchowego bijącego z samego źródła jaźni, aby nadać kierunek całemu życiu psychicznemu i dać jednostce zdolność przezwyciężania niższych egoistycznych dążności. Tę siłę daje osobowości poczucie **metafizycznej** sankcji, **bytowej** ważności i sensu życia i działania w imię wielkiej wartości. Chodzi tu o czynnik życia duchowego, któryby można nazwać **religijnym sumieniem** człowieka. Czynnik ten wchodzi w grę nawet przy zupełnym braku religijnej tematyki w świadomości".

Definicja ta jest typową **normą religijno-moralną,** jakie występują w grupach religijnych. Tymczasem chłopi tworzą grupę w pierwszym rzędzie społeczną — klasę — która u nas nosi nazwę: „warstwy chłopskiej". Wieś nie ma monopolu na religię. Religia nie jest składnikiem decydującym o treści definicji chłopów jako grupy społecznej, a w szczególności w ostatnim półwieczu rozwój społecznej świadomości, jaki nastąpił w warstwie chłopskiej, przesuwa jej treść społeczną z grupy religijnej na grupę świecką, klasowo - narodową.

Jeżeliby tę normę religijną przyjąć jako naczelną w systemie wychowawczym U. L-wych święcilibyśmy tu swoisty powrót średniowiecza, bo właśnie wówczas chłopi stanowili grupę religijną i ta tradycja przetrwała do ostatnich czasów na starej wsi, gdzie na pytanie kim wy jesteście? — w odpowiedzi padało słowo: nie-chłop, nie-Polak, a — katolik! Jedyna świadomość społeczna poza gromadzką była to świadomość bracka, członka parafii, katolika. Trzeba tu rozróżnić przesuwanie się wartości religijnych w hierarchii publiczno - społecznej, od prywatno - jednostkowej. I dziś są chłopi katolicy, ale na pierwszy plan, na naczelne miejsce w ich świadomości grupowej wysunęły się jako podmiot — wartości społeczne warstwy i jej rola w innych grupach.

Uniwersytet Ludowy jest pierwszą nową a samorodną instytucją kulturalną wsi, która wyszła spod pańszczyzny. Tradycje religijnego światopoglądu, jako głównego, a często jedynego, ciążą tu do dziś. Uniwersytety Ludowe powstały jednak na linii wyjścia wsi z izolacji społecznej, na linii bogacenia się w nowe treści i systemy kulturalne, a rzecby można więcej — na linii usamodzielnienia się warstwy chłopskiej i podjęcia odpowiedzialnego i decydującego udziału w nowoczesnym życiu narodu i Europy.

Dlatego w U. L-owych ten konflikt przeszłych formacji kulturalnych z nowymi musiał wystąpić i występuje. Przykładem może być owa krzemieniecka konferencja, gdzie obok referatu Radwana — z koncepcją religijną U.L. wystąpił Józef Obrębski z koncepcją **społeczną U.L.** Gdy w pierwszej szło o pogłębienie mistycznego związku osobowości z bytem, w drugiej o przejście wychowanka z członka społeczności sąsiedzkiej na członka warstwy chłopskiej. Znamienne, że oba stanowiska nie spotkały się z krytyką. Oba bowiem istnieją w świadomości wiejskiej równolegle. Świeżość instytucji U. L.-owych, udział w niej młodzieży ledwie ze szkołą powszechną, żywotność religijnej tradycji na wsi, brak poważnego na stan ekonomiczny wsi wpływu przemysłu i technizacji, brak inteligencji chłopskiej, wszystko to wraz z podkreśleniem klasowym rodzimości i chłopskości podtrzymuje normy religijno-moralne w pozycji z powodzeniem konkurują-

TADEUSZ ROKITNIAK CHROŚCIELEWSKI

Święty Wojciech

W puszczy ławeczka
Twarda, sosnowa,
A puszczyk w dziupli nad nią się chowa
I woła: Hu, hu.

A bursztynowy, niemal zielony
Świątek spogląda naburmuszony

Albowiem dołem
Pod jaskrów wiechą
Przyległ strudzony
Święty Wojciechus.

W borze coś grało,
W liściach śpiewało,
Coś tam w wierzbowe dziuple dmuchało.

Coś krzyczał dzięcioł,
Coś w osiczynie
Grał pasikonik na okarynie
Cicho... cichutko.

Dzwonki pachniały,
Bratków nie było,
Morze po brzegach
Jasno świeciło.

Święty Wojciechus
Nic się nie trwożył,
Przy nogach świątka głowę położył
I usnął.

Gniewa się świątek wściekle prychając,
Że ten tak usnął nań nie zważając
Cicho... cichutko...

I oto... oto
Liście się międlą,
Idą, tupocą,
Stanęli rzędem.

Błyszczą im w słońcu
Złote trzewiki,
W górę unieśli
'rubawe piki,

Niebardzo nim
Rozmachiwali,
Tylko świętego
Wzięli... zadźgali
Cicho... cichutko...

r.

cej z postępowym, społecznym w gruncie charakterem U.L.-owych.

Radwan zdawał sobie sprawę, że pomiędzy tymi dwoma koncepcjami U.L-owych istnieje konflikt. Nie wyciągnął jednak pełnych konsekwencji, zachował bowiem obie koncepcje w równoczesnym wzajemnym współżyciu, choć stanowczo religijne wychowanie osobowości postawił wyżej w hierarchii, niż wychowanie do warstwy chłopskiej. Drugie winno doszlusować do pierwszego.

„Jaka jest właściwa dla naszych wiejskich uniwersytetów kierunkowość? Jej główne linie określa dostatecznie to, co powiedziałem wyżej o religijnym sumieniu Polaka". A sprawa chłopska? Ta w języku Radwana — **„przybywa".**

Tradycja tak stawianego zagadnienia U. L-owych przetrwała do dziś. Z przyjemnością słuchałem Ignara na kwietniowej konferencji Z.N.P. jak zgodził się z tym, że coraz wyraźniej będzie się kształtowało narodowe oblicze wsi, za czym niknąć będą granice klasowe między chłopem a robotnikiem i inteligentem. Zdumiało mnie dopiero nieoczekiwane zakończenie przemówienia. Okazało się, że na procesy, które omawiał, patrzy Ignar pozytywnie wprawdzie, ale ze stanowiska obserwatora upewnionego o ich niechybnym, rzeczby można automatycznym przebiegu. Skoro więc tak pięknie zapowiada się społeczno - ekonomiczna przyszłość wsi, my w U. L-owych tym bardziej jesteśmy uprawnieni zająć się budowaniem na „fundamentalnych zasadach moralności człowieka". Oto automatyzm nie zrewidowanej starej tradycji U. L-owych.

W stylu tej samej tradycji wypowiada się Nowicki: „Ruch U. L-owych rozumie niewątpliwie dobrze doniosłość „zadań rzeczowych, które są do wykonania" i do nich wychowanków swych przygotowuje, nie może jednak uznać by to były zadania jedyne. W tym punkcie zachodzi zasadnicza różnica stanowisk".

Problem U. L-wych wyraża się zatem w pytaniu: **Obie koncepcje równocześnie i razem — czy — jedna z nich?**

GRZECHY RELIGIJNEJ KONCEPCJI

Przed wyrazicielami pierwszego stanowiska stoi zasadnicza trudność, jaką dobrowolnie przyjmują — rozwiązanie konfliktu pomiędzy koncepcją U. L-owych — religijną a społeczną.

Radwan sformułował ją następująco: „Stwierdzam, że istnieje ten antagonizm pomiędzy wychowaniem, które dąży do spotęgowania wartości człowieka, jako twórcy całego jutrzejszego życia, a polityką, która z natury rzeczy zmierza do wyzyskania wszystkich sił dla osiągnięcia dzisiejszych konkretnych celów".

W tak scharakteryzowanym konflikcie urok agitacyjny przenosił się oczywiście na „twórcę całego jutrzejszego życia". Podobnych sformułowań używali Solarz, Banach, Lipska i inni, w ten sposób przesłaniając najbardziej niepokojące pytanie, bo pytanie, które wstrząsa podstawami praktykowanego już systemu.

„Religijne" wychowanie osobowości, wprawdzie dopiero „jutro", ale ono właśnie miało pójść najskuteczniej w sukurs społeczno - praktycznemu działaniu.

Ta wiara godziła z nim krewkich społeczników patrzących na wieś jak na mapę konkretnych zadań. Ale kiedy Banach proponował zagadnienia techniki i mocnego stawienia swoich stanowisk przez wychowawców U. L.owych, a Maj przestrzegał przed wysuwaniem u nas za wzorem współczesnej Danii — zagadnień ogólno-narodowych i ogólno-ludzkich przed chłopskimi w sytuacji, kiedy walczyć wypadało wciąż jeszcze o elementarne prawa bytu chłopa —

— trudno powiedzieć, aby mimo tylu licznych sprzeczności i groźnych zaostrzeń trwająca sielanka nie utrzymała się raczej z tytułu dobrej a nie sprawdzonej wiary wzajemnej, niż w przemyślanych do końca konsekwencji praktycznych tego teoretycznego chaosu.

„Religijna" koncepcja osobowości determinuje cały system metod wychowawczych. Bliższe ich rozpatrzenie przyczyni się może do rozwiązania wielu tradycją ustalonych złudzeń.

Pierwsze co uderza to fakt ,że koncepcję osobowości formuje się w języku psychologii. Ma to ten skutek, że obracamy się wyłącznie na planie przeżyć wewnętrznych: stanów, postaw, wymiarów i kierunków „duchowych". Świat zewnętrzny, np. dzieło sztuki — nie powinno w pierwszym rzędzie wprowadzać nas w rzeczywistość społeczną, ale w tę ostateczną„ metafizyczną. „Jednostka staje tu — jak mówi Radwan — wobec organizującej duchowo, żywej, niepowtarzalnej wizji fragmentów bytu". Ta korespondencja pomiędzy osobowością a Bytem odbywa się w granicach psychicznych aktów. Dotykamy bowiem Bytu, obcujemy z nim najlepiej w wewnętrznym przeżyciu jak o tym świadczą kontemplacje i ekstazy świętych.

W ten sposób ta najwyższa instancja w kształtowaniu osobowości zamyka ją szczelnie w granicach życia psychicznego. Ona wystarcza! Dlatego i pozytywna akcja wychowawcza nie wychodzi tu poza urabianie dwóch typów wychowanków: t. zw. „skłonnościowych" i intuicyjnych.

W pierwszym idzie o nadanie wyłącznie kierunku duchowego wychowankom, w zależności od ich skłonności indywidualnych i garnituru cech, jakim operuje system wychowawczy. W tym wypadku system oparty na **religijnym sumieniu** człowieka wysuwałby przykazania ewangeliczne, ku którym należałoby pochylić wewnętrznie wychowanków.

Ale nie ma wzoru powiedzmy pokory, wytrwałości czy poświęcenia w ogóle, wedle którego możnaby każdy czyn z tego zakresu w konkretnej sytuacji społecznej ocenić i wykonać Wytrwałość, czy poświęcenie realizują się w określonym przebiegu społecznym i wzór ich jest zmienny i zależny od każdorazowego układu społecznego w czasie, miejscu, środowisku itd. Wytrwałość biednego górala jest inna, niż bogatego gazdy, a jeszcze inna niż robotnika folwarcznego z dolin. Doświadczenie z pierwszej sytuacji nie dałoby góralowi rozwiązania w drugiej i trzeciej, gdyby się w nich znalazł. Musiałby osiągnąć wytrwałość właściwą nowym warunkom społecznym, aby pozostać „wytrwałym".

Dlatego to pochylanie wychowanków w pewnych psycho-moralnych kierunkach przygotowuje ich do życia tylko w **„przybliżeniu"** i w rezultacie skazuje na satysfakcję z pielęgnowania w „sobie" wyłącznie **„skłonności".**

W późniejszym doświadczeniu społecznym, kiedy nie wystarczają dobre intencje i skłonności, ale trzeba umieć osiągać zamierzone skutki, takie uzbrojenie stwarza dla wychowanków sytuacje na tyle drastyczne, że mimo szumnych przed tym zapowiedzi, cofają się przed realistycznym wykonaniem, wchodząc w świat „dobrych intencji", jako **wystarczający** do pozytywnej oceny ich „osobowości", skoro wychowano ich w przekonaniu, że celem życia jest wytwarzanie w sobie osobowości tj. — piramidalnego nagromadzenia stanów i postaw wewnętrznych.

Ten stan osobowości odciętej od społecznej rzeczywistości uważa widać Nowicki za cenny skoro daje mi taką odpowiedź: „Jesteśmy zdania, że osobowość nie wyraża się w rezultatach działania i jego sukcesach, lecz objawia się **w uświadomieniu sobie potrzeby działania w jego intencjach i przyświecających mu ideałach przewodnich".**

W definicji tej ubezpieczono się przed pytaniem, jakie stawia działacz: **co zrobiliście i co potraficie zrobić?** — Nie musimy nic zrobić — odpowiada definicja — wystarczy, że się objawimy w uświadomieniu sobie potrzeby działania, jego „intencji" i „przyświecających mu ideałach przewodnich.

Taka obrona posłużyłaby może zakonnikom w klasztorze, ale wobec, ludzi świeckich, ale wobec młodzieży wiejskiej, która żyje w okresie wstępowania warstwy chłopskiej w naród, taka obrona zamienia się w akt samooskarżenia.

Jest to przyznanie się do tego, że religijna koncepcja osobowości poprzestaje na psychicznym życiu wewnętrznym, które nie tylko że nie wychowuje do skutecznego działania w rzeczywistości społecznej, ale nawet nie potrafi sobie porządnie uświadomić „potrzeb" działania, jego „intencji" i „przyświecających mu idei przewodnich" gdyż działając poza jego sferą w heterogenicznym świecie, buduje nieprzywiedlne do konkretnej sytuacji historyczno-społecznej wskazania. W granicach zaś zamkniętego — psychologiczno - moralnego życia wzmaga intensywność swych doznań na drodze przesuwania się od wyobrażeń węższych do coraz ogólniejszych. I skolei ten rozwój procesów wewnętrznych osobowości oddala ją coraz bardziej nawet do ideału „przybliżonej" zgodności pomiędzy skłonnościami a zadaniami realnymi.

„Coraz ważniejszym się staje — mówiła Z. Solarzowa — umożliwienie słuchaczom obcowania z ludźmi, przemianami, uczuciami **wielkiej miary".** Otwierano w ten sposób dla osobowości nieograniczone możliwości jej rozszerzania się, ale za cenę równoczesnego przekroczenia wzorów, przy których ona działać potrafi skutecznie a powyżej których wprawdzie bogatszą jest w życie wewnętrzne ale w swoich wiejskich warunkach znajduje siebie ściągniętą jakby z innej planety.

To duchowe wewnętrzne bogactwo upodabnia ją do inteligentów nagle spadłych na wieś. Bogactwo nie do zastosowania! To też swoisty urok jakby masońskich wtajemniczeń wiążący byłych wychowanków, dzieli ich równocześnie od tych, pomiędzy których wracają. Rozkosze świata psychicznego są szczelnie zamknięte dla innych psychik, nie posiadających tego samego klucza. Nie uspołeczniają się!

Tak spreparowani wychowankowie nie będą dlatego twórcami ani dzisiejszego ani tymbardziej „całego jutrzejszego życia". Z tego trzeba sobie zdać sprawę.

(D. c. n.)

Jan Aleksander Król

Redakcja tygodnika „Wieś" w porozumieniu i ze współudziałem Wydz. Kultury przy Zarządzie Głównym Samopom. Chłopskiej

OGŁASZA

KONKURS

na ludowy utwór sceniczny

Szersze omówienie konkursu podano w n-rze 18—19 (46—47) „Wsi"

NAGRODY:

I — 20.000 zł.
II — 15.000 „
III — 10.000 „

Na konkurs można nadsyłać tylko utwory dotychczas niedrukowane, natomiast rzeczy które były wystawione, ale nie drukowane, mogą uczestniczyć w konkursie. Do tekstu należy dołączyć zaklejoną kopertę z nazwiskiem i adresem autora, przy czym na kopercie należy umieścić godło. Takie samo godło należy wypisać na egzemplarzu sztuki.

Po zamknięciu konkursu, redakcja tyg. „Wieś" w porozumieniu z kierownikiem Wydz. Kultury Zw. Samopomocy Chłopskiej poda skład Sądu Konkursowego. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie pierwszeństwo nabycia i drukowania nagrodzonych i nadesłanych utworów.

TERMIN NADSYŁANIA UTWORÓW NA KONKURS UPŁYWA W DN. 1 LISTOPADA 1946 R.

U poetów

Bruno Jasieński: SŁOWO O JAKUBIE SZELI. Łódź, 1946, Wydział Oświaty i Kultury Zw. Mł. Wiejsk. R. P. „Wici"; str. 52+4.

Jeżeli pozwalam sobie zajmować miejsce na łamach „Wsi" omawianiem poematu Brunona Jasieńskiego, to jedynie z tego powodu, że nowe wydanie „Słowa o Jakubie Szeli" ukazało się nakładem „Wici". Trudno bowiem nie zaprotestować przeciw karmieniu młodzieży wiejskiej tego rodzaju „obrokiem duchowym".

Utwór Jasieńskiego zawiera przedziwną mieszaninę pretensjonalności literackiej i umysłowego infantylizmu, pseudorewolucyjnego krzykactwa i kabaretowego szmoncesu. Futurystyczne błazeństwa w zakresie metaforyki („słońca rzyć", „serca piskorz", „na plecach ciężka nieba walizka"), składni („Tańcowała izba, sień — Jak ci bidą, to się żeń! — Z końmi — wiadra, z ludźmi — konwie, — jeden Bóg ich z których stron wie"), rymu („dzięcioł — cień ciął", „wypruj — ryb rój" itp.) idą w parze z żałosnym prymitywizmem myślowym i artystycznym. Oto np. wstrząsająca relacja autora o zdradzie małżeńskiej, jakiej dopuszcza się żona Szeli:

> A i kiedyż ty się, Szela, dowiesz,
> jak nie widzisz, choć na oczyś zdrów,
> poco chodzi twoja Maryś w owies
> z smagłym Wickiem, co go masz do
> krów?

Albo ten oszałamiający głębią myśli, realizmem opisu i artyzmem wykonania obraz chłopskiej niedoli:

> Leci pies przez owies,
> chłop go zmani: naści!
> urżnie psu ogona,
> kapustę omaści.

Trudno powiedzieć, czy to tylko niepoczytalny wybryk grafomańskiego pióra, czy kpiny z chłopskiej nędzy.

Najgorzej jest tam, gdzie Jasieński próbuje dać obrazy życia wiejskiego (opis wesela), lub formułować swoją ideologię (rozmowa Szeli z Chrystusem). W pierwszym wypadku motywy ludowe zostają przestylizowane na kabaretowy „szlagier", w drugim próba lucyferycznego buntu, zuchwałego bluźnierstwa wypada tak prymitywnie i nieudolnie, że nawet nie oburza a po prostu śmieszy.

Mamy jednym słowem do czynienia z „dziełem", które na terenie poezji jest jakby odpowiednikiem sławetnej „Trędowatej". Bo i sukces swój zawdzięcza „Słowo a Jakubie Szeli" tym samym „walorom", co owa do dziś pokojówkom, ekspedientkom i paniom aptekarzowym ze wszystkich Pipidówek łzy z oczu wyciskająca powieść. Walory te zaś to: melodramatyczność fabuły, jaskrawość tendencji, tani sentymentalizm, pretensjonalne efekciarstwo stylistyczne i ubóstwo myśli, czy — ściślej się wyrażając — zastąpienie myśli hasełkami.

Młoda myśl ludowa szuka okresu heroicznego w dziejach ruchów chłopskich i, nie mogąc go znaleźć, zadawala się byle namiastką. Z faktu, że wybór padł właśnie na poemat Jasieńskiego widać, iż chodzi tu głównie o zastępcze wyżywanie instynktów buntu i walki. Tymczasem warto byłoby się zastanowić, czy dzisiaj wsi tak bardzo jest potrzebna legenda rewolucyjna i liryczne agitki. Bo przeciwko czemu miałaby się dzisiaj zwracać ta poezja buntu? Jest w tym spóźnionym nawrocie do Jasieńskiego podświadoma próba uchylenia się przed problematyką bardziej serio w patetyczne krzykactwo, w jałową gestykulację, której sens społeczny w obecnych warunkach należy uznać za — co najmniej — wątpliwy.

O szkodliwości „bimbru" mówiło się już dosyć dużo. Warto wrócić uwagę na fakt, że poezja tego typu, co „Słowo o Jakubie Szeli", działa podobnie jak „bimber": otumania. Z potoku efektownych pokrzykiwań, z jaskrawej, ordynarnej błyskotliwości przesuwających się pośpiesznie obrazów powstaje mętny opar emocji, którą byle drobiazg może wyładować w aktach nienawiści lub rozbawienia, bezpodstawnej tkliwości lub bezprzedmiotowego entuzjazmu. Ta poezja nie oczyszcza namiętności, ona gra na namiętnościach. Jest to poezja uśpionego mózgu i rozdygotanych nerwów.

A chcecie wiedzieć, skąd jej popularność w niektórych wiejskich kołach młodzieżowych? Dość dokładne wyjaśnienie tego faktu znaleźć można w artykule J. A. Króla „Co się dzieje na uniwersytetach ludowych". („Wieś" nr. 13/41).

Stefan Lichański

WŁODZIMIERZ OLSZEWSKI

Kołysanka

A gdy zostaniesz już mamą —
Na tej, czy drugiej półkuli —
Jak inne mamy, tak samo,
Zanucisz synkowi — luli...

Będziesz najczulszą stróżką;
Na piersi dziecka Chrystusik
Zwiśnie na srebrnym łańcuszku,
Tak robią wszystkie mamusie.

Pamiętaj, żeby wieczorem
Rączką przeżegnał się na krzyż;
By wyseplenił paciorek,
Bo Bozia słucha i patrzy.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Matko, coś czystsza od śniegu,
Daj nam w powszednim chlebie
Owoc żywota Twojego.

Ukołysz ciche chłopiątko
W noc dobrą — na niebowzięcie;
Zaklnij serdeczną pamiątką
Cud pierworodny poczęcia.

Gdy świerszcz pod piecem zacyka,
Baj klechdy, dzwoń miękko w cacka
O dzielnym mów rycerzyku,
Gdy się wystraszy z nienacka.

Po latach utniesz mu loki —
Sperli się śmiech w nowych ząbkach,
Nadmie się mężnym urokiem,
Kupisz mu wtedy trąbkę,

Koniki, kask, żołnierzyki,
Maleńką, groźną armatkę —
Naznaczy krzyż pałasikiem
Za Bozię, mamę, za tatkę...

— — — — — —

Tylko się kiedyś nie mazgaj,
Gdy czyjś syn z syna cię ograbi,
Gdy ołów gorącą miazgą
W piersi twe plunie karabin,

Tylko się nie dziw śmiertelnie,
Gdy twój, gdzieś ojcowską głowę
Rozłupie uważnie, celnie
Kuleczką ekrazytową.

JÓZEF BIŃCZAK

Drżące dłonie

Mroźny wicher ciął smyczkiem ostro
po nagich gałązkach brzóz.
Chwile krzyczały w niespokojnym serc
kołataniu
Aż —
pękł pierwszy granat.
Wyrósł przed nami śniegu tuman biały,
jakby w upalne lato drogą zapyloną —
czterokonny przemknął wóz.
Tak jak wszyscy, również i Zenek —
wyczekiwał z policzkiem do kolby przytulonym.
Mocno,
mocno mu dłonie drżały.
Lecz gdy na bok mgławicę śnieżną
odgarnął wiatr,
najcelniejsze były właśnie jego strzały.

TANISŁAW WITOWSKI .

BRONKOWE DZIECIŃSTWO

Fragment powieści p. t. „Obraz życia"

Rodzina Cząbrowskich należała do najstarszych rodzin włościańskich we wsi Czarnowie. Już pradziad Bronisława, Stanisław Cząbrowski, był kmieciem osiadłym, nim przyszedł ukaz i uwolnił resztę chłopów.

Stało się to dopiero za życia Jana o przydomku Kubela. Ów Jan, zwany także Kulawym, był to człek wesołego usposobienia, lubiący również posiedzieć przy kieliszku. Nic dziwnego też, że kiedy inni przykupywali ziemi, on uprzedawał. Tak pozbył się w jednym kawale pięciu morgów, które nabył niejaki Izydor Cęgalski, były włodarz z niedalekiego dworu Godziątkowa. Ziemia była wyborna, prawie czarnoziem, niemożliwie tylko zaperzona, gdyż Jan nie pracując w roli, wyręczał się synami.

Z tych najstarszy wprędce porzucił ojcowski zagon, żeniąc się także w gospodarstwo. Dwie córki, Kasia i Józia, udały się na służbę do miasta, gdzie powychodziły za mąż. W domu zostali tylko Walenty i Wicek, dopomagający matce po śmierci ojca w gospodarstwie, które teraz szło sprawnie, gdyż zwłaszcza Walek okazał się gospodarzem zawołanym.

Tymczasem Cęgalskim nie szczęściło się na nowonabytych morgach. Owszem, wspólnie z dziećmi, po prostu rękami, wykorzenili perz, lecz przy pożarze stodółki spadł z kalenicy Izydor Cęgalski i chorując parę niedziel, nie nacieszywszy się własną posiadłością, zaniesiony został na cmentarz. W domu została z nieletnimi dziećmi wdowa, a co najgorsza — bez własnego konia. Co prawda, najstarsi synowie wyruszyli do Prus na zarobek, lecz tymczasem trzeba było orać i siać. Cęgalska więc udawała się do swych pierwszych znajomych — Cząbrowskich. Oni jedni we wsi posiadali dwie szkapy.

W ten sposób Wicek Czabrowski, orząc czy bronując u Cęgalskich poznajomił się z Nastusią i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, chociaż miała dopiero szesnaście lat. Jednakże Wicuś po prostu zwariował, zapalony jej siejącymi blask czarno miodowymi oczami, spojrzeniem nieśmiałym i rumieńcem, co jak jarzębina krasił stale twarz dziewczyny. Stara Cęgalska nic owszem nie miała przeciwko temu. Zawsze to dwa konie byłyby w pokrewieństwie... Sprzeciwiała się tylko Marianna Cząbrowska, pragnąca ożenić syna w jedną szkapę przynajmniej. A tu nie było widoku na żadną. Na pięciu morgach — gdzież koń?

Jednakże przemogła stałość uczucia Wicka i obie rodziny zaczęły postanawiać wesele. Wicek oczadział wtedy z uciechy, jak w ogóle był zapalczywy, skory do uniesień, do porwania się na tysiące, chociaż z przyrodzenia szczupły — niebieskooki, słomiasto wąsy... Prawdopodobnie owa jego ciągła młodzlankowatość pochodziła stąd, że urodził się bliźnięciem a z tego powodu, po śmierci w niemowlęctwie siostrzyczki — i umysłowy jakiś niedostatek, brak czegoś — po prostu zwięzłości męskiej, opanowania, czym miał przewagę nad nim na gospodarstwie ojca pozostający Walek.

W zimie, gdy wrócili z Prus bracia panny młodej, odbyło się wesele. Uniesienie młodego pana dosięgło wtedy niepoczytalności. Co wyprawiał jak się spił wkońcu, mając słabą głowę, przeszło w legendę rodzinną. Wesele trwało dwie doby, a potem Wicek, nieprzytomny jeszcze, dopadł wreszcie Nastusi, z którą dziewiczą i wstydliwą zaraz w pierwsze noce spłodził syna, bohatera niniejszej opowieści.

Bronisław Cząbrowski, gdyż takie imię dano na chrzcie chłopakowi, nie wyglądał wcale na bohatera epopei. Przeciwnie, wątły i blady, nieruchawy był jak styczniowa noc, śród której po raz pierwszy niemowlęco zakwilił. Tak, że nawet siedemnastoletnia położnica, mimo radości ojca, który aż do sąsiadek poleciał ze łzami w oczach opowiadać o swoim szczęściu, nie mogła uwierzyć w dłuższe bytowanie syna. Pokochała go też za to z tkliwością właściwą młodym matkom, nie mówiąc już o babce, która sama odebrała wnuka od córki, i kąpała go, pluskała, obwiązywała w poduszki.

W tej cieplarni starunków dziecko jakoś przemolężyło zimę. Przemolężyło i lato. Okazywał się zastanawiający nad wiek, niesporo było mu tylko chodzić. Zaś gdy zdobył się w końcu na tę czynność, zrobiono mu tak zwany kołowrotek, w którym postępując dokoła drążka, poznawał izbę. Była niska i biała. Wkoło nachylały się od sufitu ciemne obrazy. W rogu przed jednym w czasie martwych nocy i ponurych wieczorów kołysała się rubinowa lampka, w którą babusia nakładała szczypczykami niezapominajkowy, wsparty na korkach knotek. Zapach oliwy i zaduszny płomyk lampki wsączył się od najwcześniejszych ciemnic, by w lśniący staw, w pamięć dziecka. A także przelękły naszept liści za oknem w sadzie i długie ich ucziszanie się w ociekające jesienne wieczory.

W czasie jednej z takich katafalkowych nocy powrócił z Prus ojciec Bronka, dokąd udał się ze szwagrami. Przywiózł chłopcu pierwsze ubranie. Ubranko prawdziwe — brązowe porteczki i takąż kurtkę z mosiężnymi przez całą pierś błyszczącymi guziczkami. Pachniało czymś świeżym, nowym, jak i ojciec — obcy mężczyzna z rdzawą zapuszczoną brodą. Przyjechał z nim i jeden szwagier. Bronek otrzymał całe torebki niemieckich lśniących karmelków. A nade wszystko stary kalendarz, który przywiózł wujek — wysoki, wesoły wujek Marcin.

Kalendarz ten, przeglądany na podłodze, wciągnął dziecko w krainę przerażeń. Chłopię śniło o nim po nocach. Pięło się po giętych konarach drzewa, oplątających pierwszą stronicę, przystawało na nich zalęknione z aniołami, czytało i odgadywało straszliwe znaki, wszczepiające w serce niemoc. Była to po prostu drabina w niebiosy, gdzie podnoszą się dzwony i z czarności, z gwiazd wyłania się gromowa głowa Stwórcy Boga.

Żadna potem książka nie uczyniła na nim takiego wrażenia. Żadna. Nawet mszał później. Gdyż nie umiał jeszcze czytać i nie potrafił mu nikt powiedzieć, co oznaczają te wszystkie wizerunki, greckie litery. Bo i nie umiał pytać jeszcze.

Ryby, Strzelec, Skorpion na czarnym jak życie tle i tak samo przykuwająco tajemnicze, jak ono.

Następnej zaraz zimy Bronek otrzymał braciszka i musiał się przenieść do łóżka babki. Z początku było mu obco, chłodno i prawie płakał, leżąc od ściany, gdy babka jeszcze marudziła po izbie. W ogóle, jej układanie się do snu poprzedzał cały szereg tajemniczych obrządków.

Więc najpierw zapalanie wiszącej lampki, dolewanie oliwy, zmiana knotka niekiedy. Potem babka otwierała swą skrzynkę i spożywała na cukrze krople, które tchnęły ostrością i takim pamiętnym, pamiętnym na zawsze zapachem. Skąd Bronek mógł wtenczas wiedzieć, że to eter wydziela tę przenikliwą woń? Następnie babka gasiła lampkę ścienną, zasuwała drzwi i zaczynała się rozbierać. Ale jeszcze w staniku i chusteczce pelargoniowej na głowie, klękała przy łóżku i zanurzywszy twarz w pierzynę, jęła szeptać przenikliwie.

Bronek niekiedy już zasypiał. Oprzytomniało go podnoszenie się babki z klęczek. Siadał wówczas na łóżku i spoglądał. Babusia zdejmowapła swoje bursztyny, korale — siekane — całowała każdy medalik, krzyżyk z osobna, ściągała przez głowę stanik. Nareszcie windowała się na łóżko. Ułożyła się pomału w znak z rękami złożonymi na piersiach jak w trumnie. Ale jeszcz zabezpieczająca modlitwa do świętego Antoniego, która kończyła się tak:

— Kto tę modlitewkę odmawia, odmawiał będzie, zbawioną drożką do nieba pójdzie. W ogniu nie zgore, we wodzie nie utonie, a co złego zje i wypije — nie będzie mu nic szkodziło. Daj to Panie Jezusicku i wszyscy Święci!

Następnie Bronek słyszał jej głos już przez sen, widząc to wszystko:

— Spała Matka w Betlejem, przyszedł do Niej Syn jej. — Śpisz Matko? — Spałam ci, aleś Ty mnie przebudził. Śnił ci mi się taki sen: — Widziałam Cię w Ogrójcu klęczącego, krwawy pot wylewającego...

I potem we śnie bezdennym, przeżywając z Chrystusem straszliwą w Ogrójcu samotność i opuszczenie:

— A ty Głowo skłoniona, tysiąc razy zraniona i tak bardzo zbiczowana i do słupa przywiązana...



rys. St. Cieloch

Spali. Ciemność wypełniło widzenie tej Głowy ocierniowanej, ściekającej po włosach krwią. Zwolna rozciągnęła się na całą noc i dalej, zbladła... Żałosne skrzypienie świerszcza pod belką wydawało się niedołężnym pojękiwaniem kogoś przyciśniętego wielką jak świat budową. I już się nie poruszy spod przyciesi, nie podźwignie jej nigdy. Wiekuiście będzie trwała ta noc i straszliwe widzenia śród niej, daremne oczekiwanie czegoś...

Bronek męczył się we śnie. To czuł się raz jakby pospowijany, to znów wydobywał z siebie, wstępował w obraz nad łóżkiem. Uciekał przed czymś nieznanym. Przeciska się z krzewu w krzew — niby w Ogrójcu Oliwnym... Malutkim siebie widzi, a tak przekształcającym się ciągle, jak lalka z wosku. Ugniata go obłęd i rozkosz, noc. Wsiąknął nakoniec w ścianę. Dalej gdzieś bieży, niewidzialny już, w nieznany, obcy, straszący świat...

Czwartą i piątą wiosnę swego życia Bronek spędził już więcej na ulicy. Z jednej strony wyszło mu to na korzyść, gdyż zaczął się ożywiać, wyswobodzony spod nieustających zabobonów babki. Opalił się nieco, zmężniał — poznał szerszy świat.

Lecz w tej swobodzie taiło się niebezpieczeństwo. We wsi, jak zresztą wszędzie, gromadziły się na ulicy wszystkie dzieci, chociażby dopiero zaczynały rączkować, a najwięcej było dziewczyn. One też przeważnie ustanawiały projekty zabawy. Ulubionym wtedy zajęciem było robienie doniczek. Czyniło się to w ten sposób:

Zgarnąwszy kopczyk z piasku, a właściwie ze spopielonego iłu, robiło się na wierzchołku dołeczek, w który trzeba było nalać jakiejś cieczy. Że zaś nie zawsze woda znajdowała się na podorędziu, radzono sobie w sposób uproszczony. Wstydu dzieci nie znały. Ot przysiadało się zwyczajnie nad kopczykiem i... Celowały w tym zwłaszcza dziewczyny. Szczególnie Helka Barciniakówna była niewyczerpana. Majtek nie nosiła nigdy, nawet zimą, jak zresztą wszystkie współuczestniczki zabaw na drodze.

Bronek z początku przypatrywał się tylko owym czynnościom, siedząc przykucnięty w swej barchanowej czerwonej sukience, niby królik na murawie. Oszałamiało go wszystko, a zwłaszcza widok odsłoniętych dziewuszyńskich źródełek... Po raz pierwszy odczuł wtedy dręczące zdziwienie. Spozierałby tak całe godziny.

Bronek z natury żywy, przez owo zapatrywanie się zrobił się powściągliwy, komiczny nawet, siedząc jak tchórzliwy zając śród zapracowanej gromadki. Gdyż inni chłopcy, nie obdarzeni przez naturę tak silną wrażliwością płciową, nie zwracali prawie na te rzeczy uwagi, traktując dziewczyny jak kolegów.

To był drugi łańcuch w życiu Bronka — jeden z najcięższych, nim wystrzeliły skrzydła — wstyd i namiętność. Ona to jak kajdany u nóg zahaczała go co trochę po drodze przez rumowiska życia.

Z przybyciem siostrzyczki Bronek od babki przeniósł się do łóżka ojca. Ostatecznie wolał nawet sypiać z tatą, gdyż babusia wypowiedziała mu już wszystko, co posłyszała, widziała kiedy.

Więc o dzwonie, który dziewczyna, myjąca lica, wyciągnęła zaplątany w warkocze z jeziora. Dzwon ów miał wisieć podobno w zarzecznym, odległym Głuchowie, a w jego brzmieniu miano wyławiać wyraźnie: Zuzanna! Zuzanna! — to jest imię jego wybawicielki z głębi, gdzie przedtem pogrążyło się rozpustne miasto. Bronka niezwykle pociągała owa strona — za borem, gdzie czołgała się rzeka, rozpłaszczały bagniska i wydobywał się wieżą głuchowski kościół, z którego aż tu słychać było, zwłaszcze o przedzmroku, rozpłakane brzmienia dzwonów. Napróżno jednak wsłuchiwał sie, stojąc na zapłociu, by wyłowić imię Zuzanna z rozpłynionego raz w niebiosach, raz przy ziemi, ich jęku. Co prawda dzwon ów po śmierci dzieweczki miał pęknąć i od tej pory wisi głuchy.

To o pielgrzymkach do Częstochowy w późną noc babusine długie jak różańce opowiadania. Jak tam gdzieś po drodze w Wieluniu czy Kłobucku jest klasztor, w którego murze pokazują dwa otwory, przez które miała matka piersią karmić syna — żywcem zamurowanego za jakieś przestępstwo księdza... A w lochu pod kościołem klęczą dwie mary — młodzieniec i dziewica, którzy umarli nagle przy ślubie... I wciąż trzymają się za ręce, chociaż odzież i ciało na nich zgniło wszystko. Na pewno chcieli wziąć ślub po świętokradzku, zataiwszy jakiś grzech przy spowiedzi. I dla przykładu tak ciągle klęczą — dwa żałosne kościotrupy.

Zaś w samej Częstochowie, do której leży w klasztorze na poduszeczce prawdziwy z włoskami Pan Jezusek. Ów pomału zsuwa się z poduszeczki. A gdy zesunie się zupełnie, wtenczas nastąpi koniec świata...

W ogóle, wszystko, co opowiadała babusia, tchnęło potwornością, zgrozą. Zniewalało do obawy istnienia, jak wiekuistej ciemności. Inaczej ojciec. Chociaż i w jego opowiadaniach niemieckich nie brakło podniecającej poezji. Same takie nazwy, jak Hamburg, Elba, Altona — brzmiały by czarowne wołanie świata. Zwłaszcza o Hamburgu miał Cząbrowski dużo synowi do opowiadania. O jego wielkości, bogactwie, okrętach. Szczególniej Bronek lubił słuchać o pożarze kościoła świętego Michała, którego wieża z hamburskich najwyższa, widna była na okolicę, cała ognista i różowa, lejąca złoto z roztopionych dzwonów, aż obaliła się z hukiem... Ruch, jaki wtedy panował w mieście, ryk statków, syren... Nadjechały straże nawet z Altony.

Słuchając o tym, Bronek gorzał jak ów kościół. Nie mógł usnąć. I długo dręczyła go wizja płomienistej wieży, słyszał jej upadek, rozpaczliwe i bezsilne wycie syren — to znów jak zegar śród szumu pożaru, nim runie, wybijał ostatnie żałosne godziny.

c. d. n.

W OSTATNIM 20 (48) NUMERZE „WSI" Z DN. 26 MAJA 1946:

Dyskusja: wieś — miasto — regionalizm (VI))*

F. KIRŁO-NOWACZYK

Wieś czy miasto?

— Jak sądzisz, mój drogi? Czy to „dukwienie“ w Psich Wólkach wyjdzie nam na korzyść, skoro obaj mamy mniej lub więcej słuszne prawo do „szerszego oddechu“, którego udzielić nam może tylko miasto? Mnie osobiście przejadła się już sława „powiatowego literata i zrobię wszystko, żeby się stąd wyrwać coprędzej na „szeroki świat“. Mam dość wsi i jej kultury! Pora rozwinąć skrzydła i popróbować szczęścia, gdzie indziej. Nie spocznę, aż nie dostanę się co najmniej do Poznania!

— Żeby sięgnąć po ów „szeroki oddech“ trzeba mieć twarde łokcie, a tych jak ci wiadomo, poskąpiła mi matka-natura. Zresztą dobrze mi na wsi. I jeśli niekiedy nadchodzi mnie chętka rzucenia wszystkiego do kąta i zakosztowania „owoców miasta“, wiem z góry, że nic z tego nie wyjdzie. I pewnie do końca życia nosa poza wieś nie wytknę...

— Jesteś sentymentalny, jak pensjonarka! A sentyment w dobie ogólnego postępu nie popłaca. Trzeba targać kajdanami, aż do zupełnego uwolnienia się z nich. Ale na to konieczne są, jak powiedziałeś, twarde łokcie. Bo wyobraź sobie, co może dać artyście wieś? Wieś w rodzaju twojej Psiej Wólki. Mam na myśli pisarzy i poetów przebywających na wsi stale. Na Boga! Toż to dobrowolne samozabijanie się powolne! Czy sądzisz, że poza nastrojami, których ci dostarcza dla wierszy wieś, owa „swojskość i sielskość“, nic więcej ci jako pisarzowi nie trzeba? Doszedłem do wniosku, że Psie Wólki choćby nawet wielkopolskie, nigdy dotąd nie „postawiły na nogi“ ludzi o aspiracjach artystycznych. Dobrze jest, jeśli się ma ochotę studiować folklor i duszę ludu, dobrze czasem „zaszyć się w łopiany“ i nie myśleć, ale żeby to komu pomogło wydostać się w kręgi prawdziwej kultury, jaka panuje w dużym mieście, wątpię bardzo. Pisarz, poeta tworzący na wsi latami, skazany jest w dzisiejszych warunkach wiejskich na „duchowe suchoty“. Ależ my tu docna schłopiejemy! Rola „wsiowego skowronka“ przestała mi imponować. Chcę, żeby ze mnie „byli ludzie“, a więc miasto i jeszcze raz miasto! Żywy, bezpośredni kontakt z centrami kultury i albo wzlot, albo klapa!

— Myślę, że ten kontakt w dobie wynalazków da się utrzymać bez opuszczania wsi. Mam łączność z „wielkim światem“ dzięki radiu, są tygodniki, dzienniki, czasem zawita do miasta prawdziwy teatr...

— Acha! To o czym mówisz nie jest bez znaczenia. Radio, tygodnik, dobra książka może wystarczyć dla wielu, ale nie dla nas. Bądźmy szczerzy! Kiedy rozprawiałeś ostatni raz z kimś np. na temat sztuki? Myślę o bezpośredniej, prawdziwej, rzeczowej wymianie zdań i poglądów.

— Nie wiem. Musiało to być bardzo dawno...

— A widzisz! I o co nam do licha chodzi? Czy nie właśnie o to „artystyczne wyżycie“ w gronie kolegów po piórze, o te dyskusje, polemiki, które w naszych zapadłych dziurach budzą piekielną zazdrość.

Mamy ludzi piszących, którzy przebywają stale na wsi i weszli jakoś w twoje „kręgi prawdziwej kultury“, nie zerwawszy ze wsią.

— Godzę się z tym, jeśli chodzi o takich, którzy mieszkają w najbliższym sąsiedztwie dużych miast i dojazd do miasta nie przedstawia wielkich trudności. My obaj nie jesteśmy niestety w tym szczęśliwym położeniu. Od Poznania np. dzieli nas okrągło 180 km, a do najbliższej stacji kolejowej mamy dobrą milę z haczykiem. Zatem o jakimś bezpośrednim kontakcie z elitą artystyczną Poznania nie może być mowy. Pozostaje więc jedna alternatywa: miasto! Chyba, że pragniesz pozostać wiernym tzw. regionalizmowi, wówczas zgoda. Lecz regionalizm — to cząstka tylko kultury ogólnej i często problematyczna. Zasklepienie się w kręgu prymitywu regionalnego robi pisarza po pewnym okresie jałowym, czyni zeń twórcę zaściankowego. Wiadomo, skowronek wyśpiewuje zawsze te same trele. Dla mnie nie ma wyboru: wieś, czy miasto. — Poprzysiągłem sobie, że będę w Poznaniu i będę! Bądź zdrów! (od progu). Zobaczymy, kto tu wygra swój wielki los, ja, czy ty. A więc wieś, czy miasto!...

x x x

Rozmowa powyższa wzupełności autentyczna miała miejsce na parę lat przed wojną. Znalazłem ją w ostatnich czasach pośród rękopiśmiennych szpargałów ocalałych z pogromu wojennego. Ponieważ obecnie zagadnieniem wsi i miasta zajęła się „Wieś“, korzystam z okazji i dorzucam do dyskusji konkretne trzy grosze. Mój rozmówca-kolega Stanisław S.. (kuzyn mojej żony) istotnie zmienił posadę nauczycielską, wydostał się z Psiej Wólki do miasteczka, gdzie długo miejsca nie zagrzewał, potem pod Poznań, wreszcie do samej stolicy Wielkopolski. „Twarde łokcie“ i przysłowiowy łut szczęścia sprzyjał mu. Rozpoczął karierę pisarską od wyrobienia sobie stosunków. Gdy to mu się w zupełności udało, stał się wnet popularnym autorem fraszek i nowel, wreszcie pewnego pięknego ranka rozstał się na zawsze z „belferką“ i przeniósł się na stałe do Rozgłośni Poznańskiej, pisząc słuchowiska, świetne skecze i audycje dla dzieci. Zagnieździł się na dobre w „kręgach prawdziwej kultury“. Notabene drogi nasze rozeszły się zupełnie. Ale myśl o karierze przyjaciela nie wychodziła mi z głowy. W rezultacie nie zrywając ze wsią rozpocząłem wysiłki o nawiązanie łączności z redakcjami poznańskimi i rozgłośnią. Nie bez skutku. Ale związku z „głuchą prowincją“ nie zerwałem i zamieszczałem swoje prace w dalszym ciągu w powiatowej gazecie. Żyłem dla wsi, poświęcając jej wiele drogiego czasu i sił.

Przyszła wojna, a po niej wiele zmian. Zostałem w czasie okupacji deportowany wraz z rodziną na roboty do Niemiec. Pióro trzeba było odłożyć na czas nieokreślony i wnosić plony bardziej konkretne w „cudzy bróg“. Po powrocie do kraju, w lecie 1945, w czasie kiedy inni uciekali ze wsi do miast, ulegając okolicznościom i dawnemu nawykowi, pozostałem wierny wsi. Po pewnych trudnościach natury materialnej i ideowej w związku ze zmianami społecznymi w Polsce zabrałem się znowu do pisania, w rezultacie czego, pewnego dnia stanęła mi przed oczami cała naga prawda przytoczonej na wstępie rozmowy. Dylemat: wieś czy miasto? — napastuje mnie od wielu miesięcy. Wdzięczny jestem „Wsi“ za poruszenie tak ciekawego i arcyważnego w życiu pisarza zagadnienia. Po rozwiązaniu problemów poruszonych zwłaszcza przez Lichańskiego i Jóźwiaka, doszedłem do wniosku, że przyjaciel Stanisław S. miał rację. Dlaczego? Bo:

1) pisarz pozostawiony samemu sobie na zapadłej wioszczynie dusi się z braku radia, trudności dojazdów chociażby sporadycznych do centrów kultury;

2) pisma abonowane przychodzą na wieś nieregularnie, ze znacznym opóźnieniem; stąd wymiana myśli z redakcjami kuleje;

3) brak kontaktu bezpośredniego z kolegami po fachu, od których można się dużo nauczyć;

4) osobista znajomość z redaktorami (twierdzę to stanowczo!) przyśpiesza publikowanie przesłanego materiału; ułatwia z miejsca konieczne zmiany lub poprawki;

5) sprawa wydania książki, jeśli nie jest omówiona na miejscu, jest bardzo problematyczna, najczęściej beznadziejna;

6) lansowanie w społeczeństwie pewnych pisarzy jest zasługą kontaktów z prasą;

7) przede wszystkim brak dotkliwy „duszy bratniej“, kolegów po piórze, z którymi możnaby przedyskutować niejedno z zakresu sztuki;

8) widoczne lekceważenie pisarzy „prowincjonalnych“ przez potentatów redakcyjnych.

Czy więc jednak miasto? Panie Lichański (prowokatorze!) jestem w rozterce! Poradź, zapytaj o to drugich. Czy osamotniony na wsi pisarz istotnie skazany jest na powolne samozabijanie się!

Czy przy ogólnym parciu mas chłopskich do oświaty i kultury nie byłaby wskazana decentralizacja jej źródeł? Nie jestem zwolennikiem burzenia miast, ani kraju — wsi. Ale tu trzeba na gwałt reform i jeszcze raz reform!

I na zakończenie pytanie: pisarze i poeci spod znaku przyjaciela Stanisława! Bądźcie szczerzy i napiszcie dlaczego wolicie mury miast (podobno zagrażające zdrowiu!) od wiosek, które was wydały?

Powiedzcie — mam rację, czy nie mam racji? Czy wieś to na prawdę „duchowe suchoty?“

*) *Patrz „Wieś“ nr nr: 10(38), 13(41), 14(42), 18-19(46-47).*

JAN MARIA GISGES

Miasto i wieś

Kwestia regionalizmu i związane z nią problemy nie są błahe i należy się dziwić, iż sprawa ta poruszona ubocznie przez „Cychry“, a odważnie i jasno potraktowana przez „Wieś“ nie odbiła się głośniejszym echem w prasie, i do dyskusji wywołanej przez Ziarnika i Lichańskiego w ostatnich numerach „Wsi“ mało kto się kwapi.

Region, jego budowa geologiczna, fauna, flora, obyczaje, mowa, kultura, nawet odmienny system gospodarki rolnej czy leśnej jako całość, tworzy pewien układ wyraźnie odcinający się od ogólnego tła narodowego.

Przed tysiącem lat na ziemiach polskich zaznaczały się już wyraźnie różnice plemienne między tymi, co zamieszkiwali nad Odrą, a tymi, co nad Wisłą górną czy dolną budowali swe sioła. Odrębne warunki, w jakich rozszerzały swoje władztwo i posiadanie owe plemiona, w jakich żyły i rozwijały się, wytworzyły cechy odróżniające je spośród gromady innych.

W tych czasach miast nie było. Ogniskami koncentrującymi ówczesne życie — osiedla po lasach głębokich lub nad rzekami — były wsie i grody, trzemy włodyków. Tu centralizowało się życie rodowe i rodzinne, stąd wychodziły w sąsiednie okolice różne wyroby w gatunku zależne od bogactw mineralnych, od jakości gleby, bogactwa lasów. Handel wymienny łączył ludzi, zbliżał ich, ułatwiał późniejsze zespolenie.

Było więc to, o czym marzy utopista Jóźwiak, co jednak w obecnym życiu społeczno-gospodarczym i kulturalnym jest nie do pomyślenia — **wieś – kraj.**

Nie będę się tu wdawał w polemikę w tej sprawie, gdyż chodzi mi o co innego.

Chodzi mi o postawienie sprawy regionalizmu na płaszczyźnie historycznej, socjologicznej i kulturalnej.

Region to nie tylko wieś i nie tylko miasto.

To jedno i drugie, to falistość lub płaskość wdnokręgu, to ziemia i tradycja z nią związana, to ludzie „sąsiadom“ niepodobni, obracający się w zasięgu okolicy, to wiele, wiele jeszcze elementów wyodrębniających, wytworzonych koniecznością dostosowania życia do warunków związanych z tą **ojczyzną.**

W pierwszych wiekach po przyjęciu chrześcijaństwa przez Polskę podjęły prace twórcze w dziedzinie literatury (związanej z wiarą katolicką) malarstwa, pieśni i budownictwa kościelnego — zakony i duchowieństwo świeckie, jedyne środowiska oświecone w owych zamierzchłych czasach.

Dawne sioła i wsie koncentrowały życie religijne i gospodarcze człowieka i one zasadniczo do wieku XI były źródłem rozwoju kulturalnego. Rozwój ten wywierał wpływ na całokształt życia rodowego, potem plemiennego, a wreszcie państwowego. Chłop, gospodarz prawie do XIII wieku był wolny, dzierżawiąc jedynie ziemię pana, możnowładcy; ograniczany coraz bardziej w swych prawach, wreszcie wyzuty z wolności i przywiązany do ziemi ciemniał zacieśniając swój świat do widoczności oka. Nie mniej czasokres jego wolności jest fundamentem rozwoju naszego państwa, a chłop jest pradziadem tych, którzy później wybiwszy się i wzbogaciwszy stali się jego gnębicielami, z pieczęci i herbów dumni. Chłop jako wolny brał czynny udział w postępie i życiu polityczno-gospodarczym. I w tym leży obiektywna wartość warstwy chłopskiej, jej pozycja niezaprzeczona w tradycji narodowej.

Grody komasowały jako zaczątki miast i jako skupisko elementu rycerskiego różne światopoglądy całej Polski, a nawet Europy i skupiały życie polityczne. W wieku XI zaczęły się rozwijać grody w większe osiedla i miasteczka, które jednak jeśli chodzi o dorobek kulturalny wniosły bardzo mało w skarb ogólnonarodowej kultury polskiej i prócz Krakowa promieniującego od XIII wieku nauką, wiedzą (zresztą bardzo niedługo) aż do wieku XVII nie przyczyniły się do scementowania tego, co się we dworach i pałacach działo, nie miały tendencji przewodnika, koryfeusza, zamykając się w życiu rzemieślniczym cechów.

Dwór szlachecki włączam w kompleks pojęciowy wsi. Bezpośrednia więź z ziemią, z przyrodą, z tymi pierwiastkami, które w swej surowiźnie piękna i rodzenia na świadomość i wyobraźnię miały i mieć będą wpływ niezaprzeczony, łączy w podstawie te dwie rozbieżności, które przez wieki się znienawidziły — dwór i wieś.

Z dworów płynęła rzeka twórcza wiedzy, zwłaszcza rozwijała się literatura, która nabiera podstawowego znaczenia dla rozwoju umysłowości szlachty i mieszczan (Rej, Kochanowski, Modrzewski, Kochowski itd.), a na wsiach kwitnęły bajędy literatury mówionej, które przetrwały w podaniach do dziś.

Malarstwo — to dopiero wiek XVII i XIX.

O muzyce nie można mówić. Pieśni ludu, pieśni igrców i klerków związane tematem z obyczajami i wiarą właściwie muzyką w znaczeniu klasycznym nie były.

Teatr nowoczesny pojawia się w Polsce w końcu XVIII wieku.

W średniowieczu znajdujemy zaczątki teatru religijnego (podobnie jak we Francji i w Niemczech), ale teatr ten nie wyłonił ani wielkich misteriów, ani nie stworzył trwałych podstaw dla twórczości ludowej, która by doprowadziła do samodzielnej budowy teatru świeckiego.

Ubóstwo dramatu wynikało z cech psychicznych naszej rasy. „Jak teatru dawne społeczeństwo (A. Brükner) — tak dramatu dawna literatura nie znała, chociaż istniały próby jednego i drugiego mniej lub więcej udatne. Próby te zupełnie odosobnione nie stwarzały tradycji, rutyny czy normy...“

Wynalazek druku i prochu w XVI wieku powoduje przewrót. Ciężar gatunkowy kultury przenosi się do miast, które rozbudowują się coraz silniej, osamotniając wieś, która regeneruje się, z upadku właściwie podnosi się dopiero teraz.

Centrami kulturalnymi w XVII i XVIII wieku były dwory magnatów polskich jak Puławy — Czartoryskich, Nieśwież — Radziwiłłów, Łańcut — Potockich, Bejsce — Firlejów itd. Po upadku państwa polskiego myśl polską przechowywały Warszawa, Kraków, Poznań i drobne dwory; cały ciężar tego, co poprzednie pokolenia zdobyły przeniósł się w czasie niewoli do miast i zagranicę. Najbardziej jednak polską pozostała wieś, która nie uległa prusyfikacji czy rusyfikacji. Wystarczy przypomnieć Ziemię Chełmską, wsie podbydgoskie, ziemię krakowską czy kielecką, gniazda oporu i buntów.

Z tych historycznych faktów widać, iż podwaliną, fundamentem, kanwą, kultury, na której pokolenia późniejsze haftowały,

(Ciąg dalszy na str. 7-ej)

STEFAN LICHAŃSKI

Kultura ludowa a regionalizm

O WŁAŚCIWĄ IDEOLOGIĘ KULTURALNĄ WSI

Bardzo dobrze stało się, że w dyskusji naszej zabrał głos p. Kirło-Nowaczyk „uziemiając" zagadnienie, sprowadzając nasze spory na temat miasta wsi i regionalizmu z wyżyn rozprawy „zasadniczej" na teren zagadnień bezpośrednio praktycznych. Czas już bowiem przystąpić do wyciągania wniosków z dotychczasowych wypowiedzi dyskusyjnych.

Analiza antyurbanistycznych artykułów Jóźwiaka i Stodolnego pozwoliła nam zorientować się w podstawowym nieporozumieniu, które uniemożliwiło obu wymienionym autorom ustawić należycie problem wieś — miasto. Pewne jest jedno: jeżeli nie odrzucamy w całości cywilizacji technicznej i dorobku kulturalnego Europy, nie możemy przyjąć ideału „rodzimej" kultury ludowej jako obowiązującego dla całego narodu. Niezależnie od tego jak będzie się kształtował dalszy los miast i jakie zajdą przeobrażenia polityczno-społeczne w Europie, cywilizacja techniczna będzie przenikała na wieś, co nie może pozostać bez wpływu na życie duchowe mas chłopskich. Zachowanie dawnego stylu życiowego i dawnej kultury wsi byłoby możliwe tylko przy zupełnym odgrodzeniu się od wszelkich wpływów cywilizacji technicznej, co jest niewykonalne praktycznie. Wszelkie zakusy w tym kierunku należy uznać za utopijne i zarazem w konsekwencjach swoich antykulturalne, bo mające na celu uniemożliwienie powstania jednolitej kultury narodowej zdolnej do życia i rozwoju we współczesnym świecie, oraz antychłopskie, bo próbujące przeciwstawić się emancypacji kulturalnej a więc w rezultacie także społecznej i kulturalnej mas chłopskich.

Program mniej skrajny ale zato daleko niebezpieczniejszy praktycznie, bo z pozoru zupełnie sensowny i brzmiący bardzo kusząco, reprezentują ci publicyści, którzy stoją na stanowisku, że trzeba pogodzić technizację wsi z zachowaniem dawnych form kultury ludowej i dawnego stylu życiowego. Założenia tych ideologów unowocześnionej ludowości są w intencjach swoich niewątpliwie bardzo szlachetne i — na swój sposób — postępowe. Oznaczają one bowiem przezwyciężenie wiary w szlachtę jako główną grupę społeczną kulturotwórczą w obrębie naszego społeczeństwa i przyznanie tej roli „ludowi" jako grupie posiadającej już własną bogatą tradycję kulturalną i żyjącej życiem środowiskowym najmniej podległym wpływom obcym. Oddając całą sprawiedliwość wyznawcom tego poglądu, trudno nie dostrzec w nim pewnych cech ludomanii ze schyłkiem XIX stulecia, kiedy to Kasprowicz głosił, że „zbawienie leży pod siermięgą", i pewnych tendencji wyraźnie konserwatywnych społecznie.

Sądzę, że większość ludowców pragnie, by wkład mas chłopskich w twórczość kulturalną narodu był jak największy i jak najbardziej ważki treściowo. Tym nie mniej zdajemy sobie sprawę z tego, że możliwość wzmożenia twórczego rozmachu mas chłopskich zależna jest w pierwszym rzędzie od przezwyciężenia na wsi tendencji separatystycznych i wyjścia poza zamknięty krąg statycznej dotychczas kultury ludowej. Twórczość zwrócona w kierunku budowania **jednolitej kultury narodowej** a nie konserwacja i doskonalenie dotychczasowych osiągnięć. Jeżeli na miejsce warstwy szlacheckiej zapraszamy warstwę chłopską, to pozostajemy nadal w kręgu klasowo zróżniczkowanego społeczeństwa i albo musimy przyznać chłopom prawo do hegemonii nad innymi warstwami albo — co w praktyce niemal na jedno wychodzi — zażądać od tych warstw przyjęcia chłopskiej tradycji kulturalnej i chłopskiego stylu życia, co w wielu wypadkach byłoby żądaniem „równania w dół".

Żywa i płodna ideologia kulturalna wsi nie może oprzeć się ani o postulat seperacji mas ludowych od reszty społeczeństwa, ani też o postulat hegemonii warstwy chłopskiej. Jedyną drogą zgodną z interesem narodu i interesem kultury polskiej jest droga współtwórczości kulturalnej mas chłopskich z innymi warstwami dla wytworzenia kultury jednolitej i będącej wspólnym dobrem całego narodu.

KONFLIKT: WIEŚ — MIASTO

Już w poprzednim swoim artykule dyskusyjnym („Wieś" Nr 18-19) zwracałem uwagę na podszewkę antyurbanistycznej kampanii M. Jóźwiaka. Konflikt wieś — miasto jest konfliktem pozornym. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że za niemożliwe uważam wszelkie nieporozumienia między mieszkańcami wsi i miast. Skłonny natomiast jestem do wyznawania poglądu, że wszystkie tego rodzaju konflikty mają charakter okazjonalny i sprowadzają się do konkretnych, pojedyńczych nieporozumień na tle społecznym, politycznym, gospodarczym, kulturalnym, i nie mogą być traktowane jako poszczególne epizody wielkiej jednolitej batalii. (Że w wyniku takich doraźnych starć utrwala się w świadomości obu grup pewne stale trwające napięcie wzajemnej nieufności i niechęci, nie zmienia to sprawy w sposób zasadniczy).

Pozornie wygląda to rozróżnienie na przysłowiowe rozszczepianie włosa na czworo, w gruncie rzeczy jednak jest ono bardzo ważne i zasadnicze. Chwila głębszego zastanowienia się nad obchodzącym nas zagadnieniem wystarczy, by dojść do wniosku, że antagonizm wsi i miasta nie ma charakteru walki **koniecznej** (jak np. walka ludzi z drapieżnymi zwierzętami, jadowitymi wężami czy szkodliwymi dla zdrowia drobnoustrojami), ale przypomina raczej konflikt białych z czarnymi w Stanach Zjednoczonych, konflikt będący w pierwszym rzędzie wynikiem wadliwego myślenia i niepohamowania instynktów zawiści i okrucieństwa. Konflikt wsi i miasta nie przybrał nigdy takiego charakteru i napięcia jak walka ponurych fanatyków z Ku-Klux-Klanu z murzynami, ale przychologiczne jego podłoże jest dość podobne.

Jeżeli tedy, zamiast szukać praktycznie skutecznego rozwiązania każdego poszczególnego zadrażnienia i nieporozumienia pomiędzy wsią i miastem, zaczniemy się w tego rodzaju konfliktach dopatrywać przejawów jakiejś przez Pana Boga czy też przeznaczenie stworzonej wzajemnej wrogości tych dwu środowisk, doprowadzić możemy jeżeli nie do wojny domowej, to w każdym bądź razie do spotęgowania się tych wszystkich tendencji i sił destrukcyjnych, które czynią ją możliwą w każdym momencie, a jednocześnie utrudniają niepomiernie wszelką konstruktywną i sensowną pracę.

Podkreślałem to już poprzednio i raz jeszcze wracam do stwierdzenia, że chłopscy antyurbaniści nie biorą w dostatecznej mierze pod uwagę faktu, że miasta rozwinęły się w pewnej określonej fazie dziejów w związku z określonymi przeobrażeniami cywilizacyjnymi i gospodarczo - społecznymi. Jóźwiak np. pisał o odmiennych skłonnościach filozoficznych chłopa i mieszczanina a nie wspomniał ani słóweczkiem o wpływie ustroju polityczno - społecznego na warunki życia w mieście. Tymczasem pewne jest jedno: dawne miasto - olbrzym, miasto milionerów i nędzarzy, fabryk, dymu, zaduchu, nędznych mieszkań i ciężkiej, niszczącej pracy jest produktem określonego ustroju społecznego i określonej fazy rozwoju nauki. Postęp społeczny i postęp nauki mogą — jeżeli nie usunąć zupełnie, to w każdym bądź razie wydatnie zmniejszyć złe skutki pracy robotnika przemysłowego czy urzędnika wielkomiejskich biur oraz poprawić warunki życia w mieście. Jeżeli p. Jóźwiak miał w swojej złośliwej charakterystyce mieszczucha dużo racji, to nie uwzględnił jednak należycie faktu, że chodzi w danym wypadku o pewne cechy, które mogą zaniknąć wraz ze zmianą warunków egzystencji.

Rozsądek nakazuje widzieć w niemożności ustabilizowania stałego zgodnego współżycia miasta i wsi nie jakąś odwieczną walkę anioła z szatanem, Ormuzda z Arymanem, ale pewną niedogodność życia społecznego, którą należy wspólnym wysiłkiem usunąć. Podkreślanie różnic dzielących oba środowiska nic tu nie pomaga, a nawet szkodzi. Próba zaś likwidacji jednego z nich przez drugie mogłaby doprowadzić do katastrofy narodowej o nieobliczalnych następstwach. Należałoby więc raczej wspólny wysiłek skierować ku stworzeniu takich warunków bytu narodowego, które by możliwość owych wiejsko-miejskich starć i sporów jeżeli nie zupełnie wykluczyły, to w każdym bądź razie zmniejszyły do minimum.

POLSKA A I POLSKA B

Pora, by przypomnieć, że dyskusja nasza zaczęła się od rozważań na temat przydatności i znaczenia regionalizmu we współczesnym życiu Polski. Od sprawy tej odbiegliśmy pozornie bardzo daleko, ale teraz możemy powrócić do niej lepiej orientując się w całokształcie zagadnienia.

Stwierdziliśmy, że rozszczepienie nurtu kultury narodowej na kulturę warstw górnych i kulturę ludu jest pozostałością epoki, która minęła bezpowrotnie. Utrzymywanie więc nadal owego podziału straciło swoje historyczne uzasadnienia. Dziś trzeba dążyć do tego, by nie było wielu środowisk o różnych kulturach, ale by utrwalić jednolitą ogólnonarodową kulturę polską. Uważamy, że wieś może dać wkład w budowę tej kultury bardzo poważny i istotny i dlatego pragniemy spotęgować do maksimum jej twórczość kulturalną.

W tym oto punkcie napotykamy znowu sprawę regionalizmu.

Teraz jednak ukazuje się nam ona jako zagadnienie mocno wmontowane w ogólną problematykę kulturalną współczesnej Polski, jako zagadnienie praktyczne a nie teoretyczne.

Mamy w niniejszym numerze dwie wypowiedzi dyskusyjne: J. M. Gisgesa i A. F. Kirło-Nowaczyka. Pierwsza z nich porusza głównie historyczne zasługi wsi w tworzeniu fundamentów polskiej kultury a sprawę regionalizmu traktuje jako zagadnienie w pierwszym rzędzie prestiżowe, jako możliwość pokazania miastu, że „albośmy to jacy tacy!". Jest to jakby na teren historii i teorii kultury przeniesiona opowieść o Ezawie i Jakubie z dobrymi radami dla Ezawa jak ma teraz zabrać się do Jakuba, żeby odzyskać swoje przywileje pierworodnego. Cały czas obracamy się tu w kręgu przyczynkarstwa historycznego lub problematów pozornych.

Inaczej ma się sprawa z Nowaczykiem. Ten od opisu indywidualnych utrapień przechodzi do mocno postawionego problemu kulturalnej Polski A i Polski B. Polska A — to miasto. Miasto posiada aktywne kulturalnie i artystycznie środowisko, uczelnie, biblioteki, muzea, teatry, filharmonie, jest w syuacji pod każdym względem uprzywilejowanej. Prowincja — to Polska B, utrzymująca kontakt z centrami kulturalnymi jedynie pośredni. Kontakty bezpośrednie są dorywcze i nie wystarczające. Stąd mniejsza prężność kulturalna prowincji, stąd tendencja do zaściankowości i konserwatyzmu, stąd anemiczność życia kulturalno-artystycznego na tym terenie.

Okazuje się, że bezpośredni kontakt z kulturą ludową nie wystarcza. Okazuje się coś więcej: że trudno w ogóle mówić o zorganizowanym, stałym rytmem pulsującym życiu tej kultury. Nie jest ono w każdym bądź razie na tyle intensywne i atrakcyjne, by mogło wciągnąć w swój krąg jednostki o większych ambicjach i by zdolne było ambicje te zaspokoić. W tych warunkach emigracja ze środowisk prowincjonalnych jednostek zdolniejszych i bardziej przedsiębiorczych musi być zjawiskiem stałym, podobnie jak wycofywanie się w te właśnie środowiska jednostek nieudolnych, skrachowanych życiowo, obarczonych kompleksem niepełnowartościowości. Jeżeli jednym słowem stan obecny pozostanie bez zmian, ucieczka elementu wartościowego z prowincji do większych miast będzie trawała stale, a różnice poziomów między Polską A i Polską B będą się nieustannie powiększać na niekorzyść tej ostatniej.

SZANSE REGIONALIZMU

Jakie jest wyjście z tej niekorzystnej dla całego narodu sytuacji? Jedno tylko: wzmóc tempo życia kulturalnego wsi, uczynić je ważnym i atrakcyjnym dla Polski A, Polski wielkich miast, by spowodować konieczność stałych kontaktów, stałej wymiany wartości i w ten sposób zmniejszyć do minimum różnice między życiem kulturalnym miast i wsi.

Regionalizm nie jest sam przez się żadną ideą kulturalną, jest on natomiast cennym i ważnym środkiem do spotęgowania życia kulturalnego prowincji. Zacząć należałoby tu od rozszerzenia w każdym z regionów wiedzy o jego dotychczasowym dorobku kulturalnym i o znaczeniu tego dorobku z punktu widzenia kultury narodowej. Trzeba bowiem dobrze uświadomić sobie, co znaczy, jaką ma wartość spuścizna kulturalna poprzednich pokoleń, by móc ją wykorzystać jako bazę czy choćby punkt wyjścia dla dalszej działalności kulturotwórczej.

Ale życie kulturalne regionu nie może się ograniczyć do zamkniętego kręgu własnych spraw. Kwestią najważniejszą musi być wzajemna wymiana wartości kulturalnych między poszczególnymi regionami oraz między środowiskiem wiejskim a pozawiejskim. Przyswajanie wartości kulturalnych spoza terenu wiejskiego musi być traktowane na równi z propagandą własnych osiągnięć na terenie innych środowisk. Zamiast postulatu parcelacji miast, wysuniętego przez p. Jóźwiaka, trzeba postawić postulat organizacji żywotnych ośrodków kulturalnych na prowincji, zdolnych zarazem do asymilowania wpływów kultury miejskiej jak i do zasilania tej kultury własnym wkładem. Tkwiące w psychice ludzi obu środowisk tendencje antagonistyczne, tendencje walki przemienić trzeba na ambicję wyścigu w pracy kulturotwórczej, a nie posycać ich i nie budzić żadnych tęsknot seperatystycznych lub likwidatorskich tak po jednej jak i po drugiej stronie.

Sprawą, od której należałoby zacząć, jest kwestia zaktualizowania wątków tradycyjnych dawnej kultury ludowej. Jak chrześcijaństwo zasymilowało niegdyś wiele obrzędów i zwyczajów pogańskich, tak dzisiaj nowa wieś powinnaby starać się o wykorzystanie ich dla siebie, o napełnienie ich treścią współczesną. Likwidacja dworów, przejęcie ziemi pofolwarcznej, epopea wojenna Batalionów Chłopskich, organizowanie wiejskich szkół i spółdzielni, wprowadzenie na wieś traktorów — wszystko to są elementy treściowe, które można by wykorzystać w formach obrzędowych, widowiskowych, przygotowując w ten sposób unowocześnienie chłopskiego sposobu myślenia i odczuwania.

Sprawą o dość poważnym również znaczeniu jest rozszerzenie kręgu oddziaływania przez kulturalny podbój małych prowincjonalnych ośrodków miejskich, które żyją wyłącznie ochłapami kultury wielkomiejskiej i nie żywią żadnych tęsknot do osiągnięcia samodzielności kulturalnej. Jeżeli w jakiejś Pipidówce budzą się ambicje kulturalne, to naogół ograniczają się one do naśladownictwa Warszawy, Krakowa, Poznania. A przecież każde niemal z prowincjonalnych miasteczek mogłoby stać się ośrodkiem skupiającym życie kulturalne dookólnego regionu i ułatwiającym temu regionowi kontakt z szerszym światem.

Praca regionów nie może jednak być pozostawiona wyłącznie im samym. Chodzi bowiem o zorganizowanie stałego kontaktu z wielkimi ośrodkami miejskimi, o organizację teatrów, kin, wystaw objazdowych, o zapewnienie przynajmniej najżywotniejszym i najważniejszym ośrodkom prowincjonalnym imprez kulturalnych i artystycznych na możliwie najwyższym poziomie. Trzeba również, by poszczególne regiony miały możność konfrontowania wzajemnego swoich osiągnięć na jakichś większych imprezach o charakterze ogólnokrajowym.

Trudno w artykule zmieścić choćby najbardziej szkicowy zarys programu działalności tak pomyślanych ośrodków regionalnych kultury ludowej. Ale chodzi w tym wypadku raczej o samo postawienie zagadnienia niż o rozwiązywanie problemów ściśle technicznych.

Pewne dla mnie jest jedno: regionalizm nie jest zagadnieniem samoistnym. Wiąże się on z kwestią ideologii kulturalnej, jaką przyjmą masy chłopskie, i w zależności od niej stać się może czynnikiem bądź twórczym bądź destrukcyjnym w całokształcie życia kulturalnego narodu.

(Dokończenie ze str. 6-ej)

była wieś, były proste prawa, obyczaje. A miasto, które początkowo składało się z **elementu napływowego, rządzącego się obcym prawem,** długo nie poddawało się nurtowi życia narodowego i kulturalnego, zaczynając się uaktywniać dopiero w XVI wieku.

Z tych ogólnych uwag można wyłuskać te momenty, które oświetlają wpływy na zróżniczkowanie życia, ludzi, mowy, obyczajów itd., tworząc charakterystyczną jednostkę, której nadano nazwę r e g i o n (z jęz. łacińskiego regionis — okolica).

Sprawa regionalizmu jako taka ściśle łączy się z obudzeniem, ożywieniem ruchu danej okolicy, podniesieniem na forum publicum jego wartości, ściągnięcie na swój teren ludzi twórczych, jednostek wybitnych, by nie tylko wielkie miasta były ośrodkami promieniującymi, zachłannie skupiającymi szeregi instytucji, twórców i przemysł. Powinni ci, którzy z regionu wychodzą by zdobyć wykształcenie i wiedzę, po dojściu do celu wracać do swojej ojcowizny, by nie jałowiała, by ją podnosić duchowo, bo oni znają region, jego myśl i jego ducha są w stanie zrozumieć. Tu już nie chodzi tylko o zachowanie tradycji, o stroje ludowe, o gwarę, o obyczaje i zwyczaje, które z wpływami miasta na wieś zanikają (chłop podświadomie idzie za wzorcami z miasta, wyczuwając intuicyjnie wyższość miejskiej kultury), co jest zjawiskiem niepożądanym, tu chodzi o wychowanie chłopa, o wychowanie społeczeństwa chłopskiego, podniesienie jego estetyki duchowej, o rozwój środowiska taki, by z niego wychodzili twórcy, by w nim się wychowywali.

Region wychowuje jednostki, które z nim mają bezpośrednią łączność, z jego charakteru wypływa oryginalność twórcza, która w dorobku wieków piętnuje się trwałym znakiem wielkości.

Jan Maria Gisges

STANISŁAW PIGOŃ O POEZJI CHŁOPSKIEJ

W wielkanocnym numerze (16-ym) „Tygodnika Warszawskiego" profesor Stanisław Pigoń ogłosił artykuł pt. „Pierwiastki osobiste, religijne i społeczne w poezji chłopskiej". Jest to pewien przekrój pod kątem rzeczowym dorobku pisarzy chłopskich. W pracy tej opierając się na materiale pisarskim starszego pokolenia twórców chłopskich jak Franciszka Magrysia, Jakóba Bojki, Ferdynanda Kurasia, Sawczuka, Jantka z Bugaja, Szarka, Myjaka, Raka i innych dochodzi do pewnych uogólnień, które podaje jako charakterystyczne dla wszystkich poetów. W przekroju tym autor ukazuje, że najgłówniejszą nutą tych utworów jest nuta publicystyczna i osobista. Wielce uderzającym zjawiskiem w tej poezji jest brak „tonów rozdarcia i żalów melancholji" zjawisko smutku jest zewnętrzne, wątki erotyczne bardzo nikłe, skrępowane przez wiejską powściągliwość. Inną cechą duchowych przeżyć tych poetów jest poczucie godności stanu chłopskiego: jego zamierzeń pracy i planów. Tak samo głośnym tonem odzywa się w tej poezji uczucie patriotyzmu: wielkie rocznice zwycięstw i klęsk narodowych, światła i cienie wywołują reakcję uczuciową twórców, co dowodzi bliskiego organicznego związku ich ze sprawami narodu już w pierwszym pokoleniu, które „osiągnęło poziom kulturalnej świadomości". Wątek religijny w poezji chłopskiej — według autora — wyraźnie się dzieli. Część pisarzy walczy z brakami form panującego kościoła, jego niedoskonałością życiową, — część zaś atakuje sam „nadprzyrodzony ład istnienia", wyraża się „zgrzytem zwątpienia w moralny porządek świata". Inni natomiast w słowach artystycznych starają się oddać wszelkie doroczne uroczystości kościelne, kolędy albo pieśni wielkanocne. Na tym tle nie brak w poezji chłopskiej tego zjawiska, co autor nazywa „zeswojszczeniem", tj przeniesienie wątków biblijnych w ramy domu, wsi czy gminy. Celem artykułu było ukazanie bogactwa tematycznego dawniejszej poezji chłopskiej.

t. g.

ANTONI PIPER

proza dokumentarna

Z ostatnich dni okupacji

(Na Helu)

Wiosna 1945 roku utkwiła mi na całe życie w pamięci. Front wschodni posuwał się szybko naprzód. Półwysep helski, dotąd spokojony i cichy, ożył nagle ruchliwością terenu podfrontowego. Już przy końcu lutego odgłos niebardzo odległego frontu jak pomruk nadchodzącej burzy wojennej dochodził do uszu mieszkańców Helu, a kilka dni potem wstrząsnął chatami rybackimi grzmot ciężkiej artylerii po drugiej stronie zatoki Gdańskiej w okolicy Gdyni i Oksywia. Jasnym było, że ta upragniona przez wielu a niepożądana dla innych chwila przełomowa, która miała wreszcie położyć kres martyrologii polskiej — nadeszła.

Zaprzyjaźniłem się w tym przełomowym momencie z jednym kaszubem, który posiadał u siebie radioaparat odbiorczy i potajemnie słuchaliśmy wieczorami komunikatów wojennych z frontu. Dowiedziawszy się o zajęciu przez oddziały Armii Czerwonej Lęborka, miasta położonego blisko Wejherowa, uznałem dalsze przebywanie na półwyspie helskim za niebezpieczne w razie zamknięcia go zewsząd i zablokowania dróg lądowych i morskich, chciałem tedy zwiać na ląd do znajomego gospodarza we wsi Brudzewo za Puckiem, by się tam ukryć u niego w ten najcięższy czas, aż do chwili oswobodzenia.

Była sobota 24 lutego. Pociągi jeszcze jeździły do Pucka. Postanowiłem więc jechać bezwzględnie o świcie następnego dnia. I gdyby mi było się udało, nie byłbym wywieziony i ogołocony ze wszystkiego. Już o godzinie piątej czekałem na dworcu w Jastarni na pociąg, który miał jechać w kierunku Pucka o 5.30 rano. Lecz nie widziałem ani żywej duszy w poczekalni dworcowej, co mi się nieco nie podobało. Trzy godziny czekałem, a pociągu nie ma. Chciałem się spytać urzędnika kolejowego, by zasięgnąć od niego informacji jakiejkolwiek, czy pojedzie jaki pociąg czy nie, ale żadnego nie było. Dopiero koło godziny 9-ej przyszedł zaspany urzędnik i powiedział mi, że nie ma żadnej wiadomości o tym, czy w ogóle jakiś cywilny pociąg pojedzie do Pucka, gdyż wojska niemieckie ewakuują już Puck i są w marszu na półwysep. Radził mi siedzieć w domu i nie pokazywać się wcale, bo zabierać wszystkich będą do robót wojskowych przyfrontowych.

Istotnie przed wieczorem pokazały się pierwsze oddziały uciekających wojsk niemieckich wraz z taborami i mnóstwem koni i wozów, wszyscy pomieszani ze sobą: żołnierze i cywile wraz z resztkami zagrabionego na Polakach dobytku i inwentarza martwego. Uczynił się ścisk niebywały w Jastarni. Wojsko i uciekinierzy cywilni wraz z bryczkami swymi zatarasowali wszystkie drogi i ścieżki, nawet pola w pobliżu drogi. Istna wieża Babel języków: niemieckiego, polskiego, czeskiego, ukraińskiego, rosyjskiego itd., gdyż niewolników z obozów pracy zabierali ze sobą. Parę dni tak stały te wozy i żołnierze pod gołym niebem, bo jeszcze nic nie było zorganizowane dla wojska. Zaś po tym przymusowo kazali każdemu z miejscowych oddać wszystkie mieszkania i pomieszczenia mieszkalne dla uciekinierów cywilnych, dla siebie zatrzymując tylko jedno mieszkanie. Przyprowadzili do mnie siedmioro ludzi i kazali ich umieścić.. Tłumaczyłem się, że jak ich pomieszczę, to sam nie będę miał gdzie spać. Odpowiedzieli, że muszę ich ulokować przede wszystkim, bo to są Niemcy i na dworze spać nie mogą, a my to się nie liczymy.

Widać było na twarzach niektórych żołnierzy rezygnację. Wielu miało już dosyć tej wojny i na pewno chcieliby zostawić wszystko i wracać do domu. Byli tacy nawet, którzy prywatnie w domu rybaka przeklinali już tę całą wyprawę faszyzmu hitlerowskiego na Europę.

Tyle nagromadziło się wojska i cywilnych uciekinierów, że problem wywiezienia przynajmniej połowy ludności niemieckiej stał się palącym. Obawiałem się tylko jednego: jak zaczną wywozić stąd Niemców, to mogą uczynić to samo i z rybakami. I przewidywanie to okazało się trafne, mimo, iż zapewniali rybaków, że ponieważ się tu urodzili, to zostaną tu, ale pomagać winni są wojsku, jak umieją.

Wkońcu postarali się o statki, które skądś nadjechały do Helu i rozpoczął się proces ewakuacji wszystkich Niemców niemiejscowych. Po kilku dniach po odejściu dwu transportów przyszła wiadomość, że oba statki zatopione zostały przez łodzie podwodne Marynarki Czerwonej w pobliżu brzegów Rozewia. Inni Niemcy nie mieli już ochoty do powrotu do swej ojczyzny, bo byli przekonani, że tam nie dojadą wcale. Ale rozkaz jest rozkazem, a Niemcy posłuszni byli swoim władzom i pojechali.

Teraz kolej na nas — pomyślałem sobie, bo w ich zapewnienia nie wierzyłem. I tak było istotnie. Kilka dni po ewakuacji czystokrewnych Niemców wieczorem przez gminne megafony publiczne ogłosił bürgermeister Jastarni, Frost, wezwanie do wszystkich cywilnych mieszkańców rybaków, którzy zostali uznani za niezdolnych do robót wojskowych, aby jeszcze tego samego dnia przygotowali się do ewakuacji półwyspu. Ludzie płakali, bo nikt nie chciał opuszczać, gdy nadzieja oswobodzenia rychłego świtała w sercach, tej chaty swojej, tak drogiej, sieci i łódki, do czego rybak niezmiernie jest przywiązany. Każdy był przekonany, że czeka go śmierć w odmętach Bałtyku, jak z wieloma innymi transportami ewakuowanych się już stało. Bo jeżeli już o swoich nie dbali, to kaszubów, których mimo wszystko nie uważali za prawdziwych Niemców, lecz zawsze „Verfluchte Polen" na nich mówili, nie mieli powodu ratować, tym bardziej, że nie potrzebowali już ich pomocy do budowy swojej potęgi nacjonalistycznej i militarnej, której gmach chwiał się już na wszystkie strony i trzeszczał w posadach. To też każdy myślał o ewakuacji, jak o śmierci .

Ja byłem w tym czasie zupełnie wytrącony z równowagi — myślałem, by złapać tego, który najwięcej Polakom miejscowym krzywdy wyrządził, by szkodzić Niemcom, a tu nic z tego, trzeba będzie pójść na dno morza albo do Niemiec, teraz, gdy można coś zrobić. Nie, nie, pojadę — postanowiłem — ukryję się gdzieś.

W międzyczasie dowiedziałem się, że Puck jest zajęty przez wojska Armii Czerwonej, że bez wystrzału poddał się. Ucieszyłem się niezmiernie i tylko życzyłem im, by jak najszybciej wkroczyli na półwysep i nas oswobodzili. Przecież byli już tak blisko! Lecz, niestety, nadzieje moje nie miały się spełnić jeszcze. Pierwsze oddziały wojsk radzieckich doszły do Wielkiej Wsi, skąd wyparły Niemców i zajęły ich okopy. Czekałem dzień, dwa, pięć, a tu nic, front się nie zmienia, ani nie wykazuje żywszej działalności. Ku memu zmartwieniu skonstatowałem, że front się tu zatrzymał. Widocznym było, że natarcia nie należy na tym odcinku oczekiwać wcześniej, aż po kompletnym zgnieceniu oporu niemieckiego w Gdyni.

Gdy tak pod nieustannym grzmotem artylerii lądowej i morskiej na zaproszenie znajomego wieczorem wlazłem do piwnicy, by z nim posłuchać potajemnie audycji i komunikatu wojennego z frontu w języku polskim i gdy tak usłyszałem wolny polski głos z wolnej polskiej radiostacji katowickiej o tym, jak się tam Polacy organizują, jak zacierają ślady krwawe po okupancie niemieckim, skurcz mnie wziął za gardło i łzy pociekły po policzkach. Były to łzy radości i wzruszenia, a jednocześnie żalu i skargi na to, dlaczego my jeszcze pod okupantem hitlerowskim siedzimy, gdy gdzieindziej Polska pozbyła się już tej zmory krwawej, już język polski rozbrzmiewa po ulicach, a nam tego jeszcze czynić nie wolno, kto wie, co nas jeszcze z rąk tych katów czekać może w ostatniej chwili. O, Polsko, Wolna Polsko! przyjdź do nas jak najrychlej, jutro, dziś, choćby w tej chwili — wzdychałem. Lecz te gorące pragnienia i oczekiwania moje nie miały się jeszcze spełnić. Przeznaczonym mi było jeszcze nieraz do tej Polski westchnąć i nieraz Jej wołać i przyzywać do siebie.

Gdy front niemiecki ustabilizował się koło Wielkiej Wsi, Niemcy nagwałt zaczęli się fortyfikować. Lądem nie szło już nic przewieźć, mogli to tylko czynić statkami lub okrętami. Hel po zajęciu innych baz i portów stał się najruchliwszym miejscem dostaw do armii niemieckiej na wybrzeżu. Kilkadziesiąt okrętów wojennych i statków stało na redzie pod Helem, będąc celem nalotów samolotów radzieckich, lecz bomby ich nie były zbyt celne, gdyż rzucane z wielkiej wysokości. Nieustanny warkot aeroplanów w dzień i jednostajny huk dział po tamtej stronie zatoki, od czasu do czasu gwałtowniejszy nieco, trzymał w napięciu stałym spokojną ludność kaszubską, która takiej muzyki wojennej nie znała dotychczas.

W pierwsze noce wychodziłem na dwór i kilka godzin nieraz stałem ukryty za drzewem, patrząc w czerwony od ognia latających pocisków nieboskłon.

Każdy rybak zabrał się energicznie bez rozkazu do budowy dla siebie i rodziny swej schronu polowego z całych sosen ułożonego. Taki sam schron pobudowaliśmy z bratem. Byłem zadowolony z niego, co do wytrzymałości na szrapnele i odłamki. Ale tylko dwa razy w nim siedziałem. Raz gdy około 5-ej po obiedzie 20 marca nadleciały eskadry lekkich samolotów bombardujących i dłuższy czas bez przerwy krążyły nad Jastarnią, szukając widocznie upatrzonego celu do zrzucenia bomb. Gdy artyleria przeciwlotnicza niemiecka przestała już strzelać, samoloty obrzuciły całą baterię bombami. Drugi raz siedziałem w schronie, gdy radziecka artyleria wypuściła kilka serii z tamtej strony zatoki do Jastarni.

Przez zatrzymanie się natarcia wojsk radzieckich na półwysep Hel, Niemcy skorzystali na czasie, by się lepiej umocnić, bo wtedy nie byli silni i natarcie to byłoby się udało z pewnością. Wszystkich cywilnych niezależnie od przynależności państwowej od lat 16 do 65 miejscowy komendant garnizonu kazał zebrać i postawić przed komisją lekarską, która oczywiście była fikcją, bo lekarz tylko spojrzał na twarz, kiwnął palcem na znak, by brać do roboty. Wszystkich młodych i starszych, którzy według opinii lekarza nadawali się jeszcze do prac wojskowych przyfrontowych wcielono do kompanii pracy.

Krótko po tym przyszedł rozkaz ewakuacji wszystkich cywilnych niezdolnych do robót wojskowych. Ponieważ prawdziwych czystokrewnych Niemców nie było już wielu, chodziło tu więc o przeniesienie ludności kaszubskiej. Taki rozkaz został przez megafony uliczne w Jastarni wieczorem późno, 27 marca 1945 r. ogłoszony. Ponieważ tego pierwszego wezwania do opuszczenia dobrowolnego półwyspu nikt nie usłuchał i nie ruszył się z miejsca, powtórzono następnej nocy wezwanie, a w kilka chwil później SS-owcy robili porządek po prywatnych mieszkaniach, budząc śpiącą ludność i każąc się zabierać do drogi.

Ja trzy dni ukrywałem się, w dzień u niewolnika rosyjskiego, który tu dłuższy czas pracował i z którym się poznajomiłem , a w nocy na strychu, drżąc z zimna, siedziałem skulony, bo o spaniu nie mogło być mowy. Czwartej nocy zszedłem po drabinie na dół, by wejść do schronu po kawał suchego chleba, nie wiedząc, że jest obława na tych, którzy się ukrywali,, nie chcąc być wywiezionymi do Niemiec. Właśnie jadłem swój chleb, gdy zajrzeli do wnętrza schronu i mimo, że przykucnąłem, jak tylko mogłem do ściany, zauważyli mnie i kazali pod groźbą zabicia iść ze sobą. Ujęli mnie silnie pod ramię i poprowadzili mnie do Seesportschule", dawniej domu Akademickiego Zw. Młodz. w Jastarni. Tam już znajdowało się kilkadziesiąt osób. Obładowani byli niemiłosiernie. Po co oni wiozą to wszystko — myślałem i tak z tym spowrotem nie wrócą. Ja zaledwie posiadałem trochę chleba.

W nocy zaprowadzili nas na dworzec i kazali czekać na pociąg, który przyjechał dopiero następnego dnia w południe i zawiózł nas do Helu do mola, a tu jak bydło załadowali nas na statek, zapełniony już rannymi uciekającymi żołnierzami niemieckimi.

Ponury odjeżdżałem..Bo wolność widziałem tam po drugiej stronie, która zamiast się do mnie przybliżać, oddalać się zaczęła.

Listy do Redakcji

Do Redakcji „Wsi".

Proszę opublikować na łamach „Wsi" następującą notatkę:

W numerze 15 umieściła „Kuźnica" recenzję z mojego tomiku „Kraj". Autor recenzji Ryszard Matuszewski, przygodny poeta i przygodny krytyk, przy tej okazji pastwi się nad autentyzmem i książką, której nie rozumie. Zespół redaktorów „Kuźnicy" mógłby zwrócić baczniejszą uwagę przy zamieszczaniu ryzykownych sprawozdań, kiedy występuje z postulatem walki o poziom i postępową etykę literacką. Matuszewski, wyliczając Młodą Polskę, Kasprowicza, Czechowicza, Jesienina, Błoka, Wierzyńskiego, Tuwima, Lieberta i Gałczyńskiego, którzy „dźwięczą w wierszach" moich, zapomniał dodać nazwiska poetów Kuźnicy: Jastruna, Ważyka, Leca, Hertza, Pasternaka i swoje, co niniejszym uzupełniam.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

J. B. OŻÓG

* * *

Ponieważ drukowany w poprzednim N-rze List ob. A. Sandauera uległ zniekształceniu, podajemy poniżej właściwy tekst.

(Redakcja)

W artykule „Podsumowanie dyskusji o gwarze", ogłoszonym na łamach „Wsi" (Nr. 15—16), niejaki p. Budzyk (Kazimierz) zajął się bliżej moją notatką „O literaturze gwarowej" („Wieś" nr. 1). W artykule swym Budzyk ów m. in. pisze: Artur Sandauer uważa dialekty ludowe za zepsutą odmianę języka literackiego za „przekręcanie normalnego języka i pisowni". „Chłop prawdziwy — czytamy w artykuliku Sandauera — stara się wyzbyć, jeśli może błędów swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są oczywiście inteligentami z wykształcenia, starają się przyswoić sobie tych błędów jak najwięcej". Tego rodzaju poglądy dobre w uczoności jeszcze księdza Baki zostały u nas przezwyciężone już z początkiem XIX w. A przecież dobiegamy obecnie połowy XX-go wieku i doprawdy wstyd trochę publicznie i w druku poważnie się takim opiniom przeciwstawiać, zwłaszcza jeśli pochodzą od krytyków literackich, od ludzi „uczonych w piśmie".

W inkryminowanym ustępie mego artykułu „O literaturze gwarowej" pisałem dosłownie: „Prozaicy, ba nawet poeci chłopscy nie tylko, że wprowadzają do swych utworów wyrażenia gwarowe, ale — co więcej — normalnym polskim słowom nadają kształt jak najbardziej odmienny od literackiego. Poeta Paweł Kubisz uważa widocznie, że byłoby kompromitacją dla jego ludowości, gdyby — zamiast „stojym" — pisał „stoję", a zamiast „pod mokróm wargóm" — „pod mokrą wargą". Warto by się zastanowić, czemu lub komu ma służyć to przekręcanie normalnego języka i pisowni? Publiczności chłopskiej? Wątpię, aby chłop — chociażby z tego samego powiatu, co Kubisz łatwiej zrozumiał „stojym" niż „stoję". Dla mieszkańca zaś drugiego powiatu, gdzie mówią na przykład „stoji", słowo „stojym" będzie już zupełną zagadką. A może używając gwary, poeta chce wywołać wrażenie w czytelniku, że poezja jego jest rdzenna i ludowa? Lecz taka, robiona z rozmysłem, poezja chłopska — pozostanie zawsze tworem sztucznym. Chłop prawdziwy stara się wyzbyć, jeśli może, błędów w swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są, oczywiście, inteligentami z wykształcenia, starają się sobie przyswoić tych błędów jak najwięcej".

Jak wynika z powyższego, nie twierdzę bynajmniej, jakoby dialekty ludowe były zepsutą odmianą języka literackiego — jak mi imputuje p. Budzyk — lecz jedynie, że pisarze, którzy język literacki doskonale znają, stosują gwarę, w sposób sztuczny. Co innego — nie znać innego języka prócz narzecza, a co innego rozmyślnie do niego powracać. Trudno uwierzyć, aby ob. Budzyk tej różnicy nie widział. Wobec tego muszę stwierdzić, że pan ten świadomie fałszuje moje słowa i imputuje mi niedorzeczności, których nigdy nie miałem zamiaru wypowiedzieć.

Artur Sandauer

PRENUMERATA „WSI" WYNOSI:

zł. 25 miesięcznie; zł. 75 kwartalnie; zł. 150 półrocznie. Prenumeratę przyjmują: w Łodzi: Redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98; Dział prenumerat „Czytelnika", Łódź, ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74; Księgarnia „Czytelnika", Łódź, Piotrkowska 96, tel. 126-04; Księgarnia „Czytelnika", Łódź, ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65. Na prowincji: Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddział w Łodzi Nr 815 — Kolportaż „Czytelnika" (z zaznaczeniem: na „Wieś").

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Redakcja rękopisów nie zwraca.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr 2, Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2.

D—09436